

395 • LISTOPAD 2023



INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



YARKOS 2023

ZADUSZKOWO...

Ten wstępniak aż za bardzo wkomponował się w czas Halloween oraz Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego – gdyż wolałbym nigdy go nie napisać. Odeszły bowiem dwie dobrze znane mi Osoby; jedna dawno temu luźno powiązana z GKF-em, druga niezmiennie związana z fandomem.

Aneta Szytak. Moja bardzo dobra koleżanka z polonistyki. Pierwsza żona Jerzego Szytaka. Razem z obojgiem Szytaków i z Andrzejem Habasińskim (notabene prowadzącym przed laty w „Informatorze” rubrykę muzyczną) stanowiliśmy za studenckich czasów zgraną paczkę przyjaciół. Razem uczylimy się do egzaminów (zwł. tych najbardziej hardkorowych), razem chodziliśmy do kina (schodzący z ekranów *Lokator*, wchodzące na ekrany pierwsze części *Gwiezdnych wojen* i *Indyany Jonesa*, ale także *Czas Apokalipsy* czy *Hair*), wymienialiśmy się książkami (m.in. Tolkienem, Dickiem i Lemem). Po organizacyjnych perypetiach na UG wyłądowności też wspólnie na seminarium magisterskim u prof. Anny Martuszewskiej (Aneta pisała o fantastyce grozy, Jerzy o komiksie, Andrzej porównywał *Czas Apokalipsy* z *Jądrzem ciemności*, ja skupiłem się na science fiction). Zresztą to dzięki Szytakom, już po studiach, związałem się z GKF-em. W klubie bardziej działał Jerzy (publikując m.in. w pierwszych zinach teksty i rysunki), ale to akurat Aneta skontaktowała mnie z Krzysztofem Papierkowskim. Pamiętam też wyprawę z Anetą do – nieznanego mi wtedy zupełnie – Sobieszewa; to był mój pierwszy Nordcon (AD 1987), Aneta zaś pojawiła się tam jedynie z otwierającą konwent prelekcją o horrorze. Wtedy Szytakowie mieszkali w Pucku – w małym, ale uroczym urządzonym domku zwanym przez nas Szytakówką. Odwiedzałem ich tam bardzo często, już podczas mej pracy w żarnowieckiej jądrowce. Cóż... dla starszych dzieci i młodych dorosłych szczególnie ważne są właśnie kontakty rówieśnicze: wspólnota pokolenia, podobne zainteresowania i przemyślenia życiowe. Szytaci i Habas oraz paru jeszcze przyjaciół należeli też do grupy pierwszych czytelników kolejnych *Wampiurów* – na bieżąco, z pojedynczych i jeszcze ciepłych plansz. Potem upomniało się o nas w pełni dorosłe życie. Małżeństwo Anety i Jerzego rozpadło się, każde z nas też poszło w swoją stronę (choć śmiem mniemać, że nigdy się na siebie nie poobrażaliśmy – nie było zresztą powodu). Kontakt najwcześniej straciłem właśnie z Anetą. Ja swego czasu „zdradziłem” obraz dla słowa (liceum plastyczne – a potem polonistyka). Aneta przeszła drogę w przeciwnym kierunku: już w Muzeum Ziemi Puckiej organizowała czasowe wystawy sztuki współczesnej. Po wypłynięciu na trójmiejskie wody – stała się równie uznaną, co kontrowersyjną (ale w sztuce to chyba atut?) kuratorką sztuki. Wyspa, Łąźnia, NOMUS – z tymi instytucjami kultury kojarzyć się będzie już zawsze... Nader życzliwie śledziłem jej poczynania (acz mi osobiście bliższy jest w sztuce kunszt niż konceptualizm), a informacja o odejściu Anety to dla mnie szok. Składałem też tu głębokie kondolencje wszystkim Bliskim – szczególnie zaś jej wujkowi: Andrzejowi Prószyńskiemu.

Piotr „Raku” Rak. Nie zdążyłem otrząsnąć się ze świeżego szoku po Anecie, gdy dotarła do mnie kolejna hiobowa wieść: odejście równie legendarnego i zasłużonego, co sympatycznego działacza Śląkfy. Jego chyba bliżej na tych łamach nie muszę przedstawiać... Pozwolę sobie na kilka osobistych wspomnień i refleksji. Jego poznałem – o ile pamiętam – w roku 1988, podczas ostatniego (jak się później okazało) konwentu organizowanego przez Janusza Montego pod Staszowem. Były to niezwykle spotkania: łączyły specyfikę seminarium poświęconego fantastyce z fanowską imprezą. Pojechałem jako uczestnik (jakiś referat planowałem przygotować za rok); ale, na prośbę Papiera, rozłożyłem też małe stoisko z klubowymi publikacjami (w tym z „zerowym” wydaniem *Wampiurów*). Obok mnie rozlokowali się dwaj sympatyczni faceci ze Śląska; nawet w jakimś momencie poprosili mnie, bym popiłnował przez chwilę ich stoiska. Oczywiście nie wiedziałem, jakim gigantem fandomu czynię tę drobną przysługę – byli to bowiem Pewuc i Raku właśnie. Potem widywaliśmy się na tylu konwentach (zwł. Nordconach), że nie sposób zliczyć... I – zdaje sobie z tego sprawę od lat! – stanowimy chyba dobrą fanowską rodzinę. Zaś rozmaite wzajemne prztyczki, jakich sobie ongiś między GKF-em a SKF-em nie szczędziliśmy, możemy chyba potraktować z pobłażaniem i rzucić na karb młodzięńczych temperamentów. Ja w każdym razie przepraszam za wszystko, co w „Informatorach” mogło kogokolwiek urazić! Składałem też równie głębokie kondolencje wszystkim Krewnym oraz Przyjaciołom i Znajomym Piotra.

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#395 • LISTOPAD 2023

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Urodziny członków

Serwis klubowy

#Nie tylko barbarzyńcy – Chester

Krzysztof Szkurłatowski

Wrzeszcz w Halloween

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

LITERATURA

Justyna Kowieska

Wieża

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Spiel des Jahres – Top 10, sezon 4. Odcinek 20

Krzysztof Szkurłatowski

Fantastyczny festiwal...

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 146

Michał Bleja

Zanurz się

Artur Łukasiewicz

Leksykon seriali fantastycznych c.d.

Gdy w filmowej fantastyce...

Tomasz Magulski

Była sobie Ahsoka

Fingernails...

KOMIKS

Adam Mateja, Jan Plata-Przechlewski

Uwierz w ducha

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES:

80-395 GDAŃSK

UL. OPOLSKA 2

STRONA:

WWW.GKF.ORG.PL

KONTO BANKOWE:

VOLKSWAGEN BANK

42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

KRS: 0000098018

„INFORMATOR GKF”

ISSN 1505-8476

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

NAKŁAD 120

REDAKCJA:

JAN PLATA-PRZECHELEWSKI

GRZEGORZ SZCZEPANIAK

MARCIN SZKLARSKI

MICHAŁ SZKLARSKI

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

STAŁA WSPÓŁPRACA:

ADAM CETNEROWSKI

JANUSZ PISZCZEK

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

TOMASZ MAGULSKI

ALEKSANDRA MAŁAJ

ADAM MATEJA

MARTA KARBOWSKA

DAMIAN FILIPKOWSKI

E-MAIL:

INFORMATOR@GKF.ORG.PL

OKŁADKA:

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

DRUK:

PRINT GROUP SP. Z O.O.

HTTP://PRINTGROUP.PL

URODZINY

Drodzy Urodzeńcy grudniowi i styczniowi!

*Życzymy Wam po prostu udanego i szczęśliwego przełomu!
Zaś wszystkim Klubowiczom, Czytelnikom i Sympatykom –
– Magicznych Świąt oraz Fantastycznego Nowego Roku!*

Redakcja INFO

GRUDZIEŃ

- 3 Robert Szulist
- 4 Lance Oszko
- 5 Krzysztof Sokołowski
Tomasz Świderski
- 8 Mariusz Czach
- 13 Piotr Terszel
- 14 Ewa Białołęcka
Michał Stawski
- 21 Natalia Bortkun
- 25 Adam Lewandowski

STYCZEŃ

- 2 Adam Cetnerowski
Ewa Szadkowska
Lucyna Szmaglik
- 5 Łukasz Pankiewicz
- 6 Witold Sietkierzyński
- 8 Agnieszka Bohosiewicz-Gabrowska
- 9 Damian Stankiewicz
- 10 Mirosław Malak
Jan Plata-Przechlewski*
- 21 Mateusz Berger
- 22 Marcin Grzybowski
- 25 Hubert Kozij
Helena Strokowska
- 26 Eugeniusz Dębski
- 27 Robert Piechota



rys. Aleksandra Małaj (Olsza)

*Sześćdziesiąte piąte! Chyba czas na emeryturkę, redaktorku...

2 listopada zmarł

Piotr „Raku” Rak

Zasłużony działacz polskiego i europejskiego fandomu (w polskim ruchu fanów fantastyki obecny od początku, czyli czasów OKMFISF), członek i podpora Śląskiego Klubu Fantastyki od zawsze, a także łącznik między polskim i czeskim środowiskiem fantastów. Przede wszystkim zaś dusza towarzystwa, nieprawdopodobnie pogodny i sympatyczny człowiek, bez którego trudno będzie sobie wyobrazić jakikolwiek konwent. Łączymy się w żalu z Rodziną i Bliskimi.

Przyjaciele z Gdańskiego Klubu Fantastyki

W projekcie nekrologu wykorzystano zdjęcie autorstwa Michała Dagajewa

WOLONTARIAT PRACOWNICZY DLA GKF

Drodzy Klubowicze,

zbliża się koniec roku i wielu firmach można uzyskać dodatkowe środki dla organizacji (stowarzyszeń i fundacji), w tym GKF-u. Rok 2024 będzie dla nas na pewno dosyć obciążający finansowo – i trudno przewidzieć nam obecnie wydatki, które nas czekają.

Przypominamy, że jako organizacja non-profit jesteśmy zarejestrowani w programie Benevity, który zapewnia dostęp do darowizn od firm i ich pracowników dla organizacji non-profit i charytatywnych na całym świecie.

Wiele korporacji zachęca swoich pracowników do przekazywania pieniędzy i czasu na wolontariat organizacjom non-profit w ich społecznościach, a także dopasowuje i przesyła te datki za pośrednictwem systemu Benevity.

Organizacja charytatywna lub non-profit, która posiada swój profil w Benevity, może otrzymać następujący rodzaj wsparcia:

- dotacja,
- darowizna,
- godziny dla wolontariuszy.

Gorąco zachęcamy, żebyście dowiedzieli się u Waszych pracodawców, czy wspierają organizacje takie jak nasza. Oczywiście liczy się nie tylko wsparcie pieniężne, ale też na przykład dodatkowe dni wolne dla wolontariuszy działających w stowarzyszeniach i fundacjach. Wszelkie wsparcie jest dla nas na wagę złota i z góry za nie dziękujemy :)

Dla przypomnienia: Gdański Klub Fantastyki posiada status Organizacji Pożytku Publicznego (nr KRS poniżej).

Z serdecznymi pozdrowieniami –
Ola Markowska
Prezes GKF

POSIEDZENIE ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

16 LISTOPADA 2023 ROKU

I. Sprawy organizacyjne

1. Postanowieniem zarządu – GKF obejmie kolejny raz patronat medialny nad konwentem RemCon.
2. Urodziny Heweliusza w styczniu - zarząd postanowił podjąć współpracę z Hevelianum w zakresie organizacji gier planszowych.
3. Decyzją zarządu składki członkowskie w 2024 roku przedstawiają się następująco:
 - Grupa wiekowa do 18 lat (Gw1) – **składka kwartalna 20 zł, roczna 80 zł.**
 - Grupa wiekowa od 18 do 25 lat (Gw2) – **składka kwartalna 30 zł, roczna 120 zł.**
 - Grupa wiekowa powyżej 25 lat (Gw3) – **składka kwartalna 40 zł, roczna 160 zł.**
 - Klub Członków Korespondentów (KCzK) – **składka roczna 90 zł.**
4. Utrzymana zostaje ulga w składkach dla nowych członków: pierwszy rok członkostwa połowa składki.
Przy zapisie:
 - w pierwszym kwartale – ulga dotyczy składki rocznej lub czterech kwartalnych.
 - w drugim kwartale – ulga dotyczy trzech składek kwartalnych oraz składki rocznej w kolejnym roku kalendarzowym.
 - w trzecim kwartale – ulga dotyczy dwóch składek kwartalnych oraz składki rocznej w kolejnym roku kalendarzowym.
 - w czwartym kwartale – ulga dotyczy jednej składki kwartalnej oraz składki rocznej w kolejnym roku kalendarzowym.
5. Omówienie planu i aktualnego stanu przygotowania nowej siedziby.
6. Podsumowanie działalności GKF na GDARena i plan wzięcia udziału w przyszłym roku.
7. Zarząd zatwierdził kupno nowego komputera do klubu. Budżet 3000 zł.

II. Sprawy personalne

- I. Nowi członkowie:
- Dorota Kamrowska-Załuska.
 - Małgorzata Kantor.
 - Radosław Naruszewicz.
 - Gabriel Makowski.
 - Piotr Kotlarz.
 - Mariusz Pałczyński (KCzk).

/opr. red. na podst. protokołu/



rys. Aleksandra Małaj (Olsha)

SPRAWY KLUBOWE

DLA WAS NIE KŁOPOT – A DLA NAS POŻYTEK

Wkrótce będziemy rozliczać tegoroczne podatki. GKF zaś działa niezmiennie – mimo zewnętrznych zawirowań – wypełniając swą kulturalno-wychowawczą misję. Czekają nas też zmiany, m.in. nowa siedziba.

W związku z tym niezmiennie prosimy o pamięć i życzliwość (oraz 1,5%) podczas Waszych rozliczeń...

Nasz nr KRS to 0000098018

GKF

NOWE PROPOZYCJE W DZIALE GIER PLANSZOWYCH

Nidavellir – szybka gra licytacyjna; *Wędrowcy Południowego Tygrysu* – skomplikowane Euro o arabskich podróżnikach i odkrywcach; *Ready, Set, Bet* – gra czasu rzeczywistego o obstawianiu wyścigów konnych.

Ceti

KOLEJNE PLANSZÓWKARIUM W „MACIUSIU”

W niedzielę 26 listopada miało miejsce kolejne spotkanie z grami planszowymi. Tradycyjnie było ono otwarte dla gości i odbywało się w godzinach 12:00–20:00

/red./

NASZA FLAGOWA IMPREZA

XXXVI Konwent Polskich Klubów Fantastyki NORDCON!

temat: „Tradycyjna fantasy z lekkim mrugnięciem do RPG”.

termin: 5–10 grudnia 2023 r.

miejsce: Jastrzębia Góra, OW „PRIMAVERA Conference & SPA”.

GKF

WIGILIA KLUBOWA

Zaplanowana jest na 16 grudnia – jeszcze w „Maciusiu”..

GKF/red

#NIE TYLKO BARBARZYŃCY CHESTER

Gdybyś mogła coś powiedzieć o sobie, kilka słów...

Magdalena Szymańska, ksywka Chester; w samym fandomie jestem od 2005 roku. Na co dzień pracuję jako Project manager w firmie marketingowej. W Cosplay'u działam jako Mentor – taka osoba wspierająca młodszych cosplayerów.

Zajmujesz się swoim hobby w takim większym rozumieniu fandomu, czyli na całą Polskę, czy raczej bardziej lokalnie?

Zdecydowanie na całą Polskę, ponieważ pochodzę z Trójmiasta, ale zdarzyło się tak, że około 2007 roku wyprowadziłam się na południe, do Wrocławia. Tam tak naprawdę zaczęła się moja przygoda z Cosplay'em. Gdy wróciłam do Trójmiasta, zaczęłam udzielać się na całą Polskę, w formie mentora, jurora konkursów Cosplay, prelegenta.

Powiedz, czym tak właściwie jest Cosplay?

No to tak w bardzo prostych słowach – i ja to zawsze tak opowiadam, że Cosplay to odzworowywanie jakichkolwiek kostiumów, jakichkolwiek koncepcji kostiumów z szerego pojętej popkultury. Cosplay najczęściej kojarzony był wcześniej z japońską animacją mangologiczną. A dlaczego szeroko pojęta popkultura... Ponieważ (pomimo że jest kojarzony z kulturą Japonii, czyli z mangą i anime) teraz już również np. z grami, z komiksami – to de facto może być wszystko. Mogą być filmy, mogą być seriale. Nawet zaobserwowałam, że był taki trend na robienie z Cosplay'u obrazu dosłownie: czyli ktoś sobie drukował ten obraz, odpowiednio go



Magdalena Szymańska,

fot. www.instagram.com/wicked.cospics/

obrabiał i częścią siebie w ów obraz gdzieś tam wmontował. Czyli tak naprawdę wszystko, co ma swój wzór gdzieś-tam, bo teraz już się tak porobiło nawet w angielskim. Cosplay to po prostu przebrać się za coś – i można powiedzieć (ja się zawsze śmieję), że ma się swój pierwszy Cosplay. Jeżeli ktoś jest zainteresowany, to wykonał go już w podstawówce, na balu przebierańców. Tak naprawdę te wszystkie przebrania Batmana czy Myszki Miki niczym się nie różnią od mojego siedzenia pół roku nad – nie wiem... – nad postacią z *Gry o tron*. My już nie jesteśmy piwniczankami, nie jesteśmy osobami, z których się można śmiać. Tylko teraz modnie jest być

nerdem. Wydaje mi się, że wejście generalne nerdów do mainstreamu i pokazywanie tego tak naprawdę, że my nie jesteśmy jakimiś, nie wiem, żywionymi psychicznie ludźmi, którzy po prostu uciekają w świat fantazji. Nie jest dziwnym, że mój 38-letni kolega przykładowo biega w pelerynce – wszyscy widzą, że on jest wyłącznie w przebraniu i jemu to sprawia radość, ale jednocześnie ma swoją codzienną pracę. Ma swoją rodzinę, ma cały taki normalny obszar funkcjonowania. To jest rozrywka; tyle że nasza rozrywka polega na dosłownym wcielaniu się w tę postać, byciu tą postacią choćby na chwilę. Cosplay to jest skrót. To jest zlepek dwóch słów kostium i klej. To jest w oryginale właśnie odgrywanie tej postaci, przebranie się za tę postać.

Jak przygotować strój?

Jak się do tego zabrać we właściwy sposób? Oczywiście, można powiedzieć: „Chcę to – no dobra, to idę teraz po to. Aha, to teraz muszę kupić. Teraz muszę kupić materiał. Idę kupić materiał, potem muszę kupić farbę”. Można tak robić, ale to jest po pierwsze bardzo nieefektywne. Po drugie przepala nam budżet. Nagle się okazuje, że coś, co kupiliśmy w tym momencie, może się okazać bez sensu. Więc oszacowanie po kolei kroków. Nawet z czyjaś pomocą zważenie plusów i minusów, obmyślenie odpowiednich kroków. Oszacowanie tego budżetu, co nam jest potrzebne. Na pewno jest to ważnym elementem. Zrobienie bardzo konkretnego researchu, zadawanie pytań. Ważne jest, żeby ludzie nie bali się zadawać pytań. Nie na zasadzie „Daj mi linka do...” – tylko „Czy masz pomysł?” albo „Jak można by to wykonać?”. To jest też bardzo ważne – umiejętność zadania właściwego pytania, żeby nie wyjść na osobę roszczeniową albo oczekującą, że ktoś za kogoś coś zrobi. Bo w pewnym momencie to była bardzo

brzydka domena młodych cosplayerów, że przychodzili na grupę i mówili: „Słuchajcie, chcę zrobić ten kostium. Dajcie mi kroki!”. Research to 90% sukcesu. Dobre rozpisanie, dobry brainstorm na samym początku – i zebranie właściwych informacji. Szacowanie tego, co jest najprostsze, a co najtrudniejsze. Co może być tajemnicą. A jeżeli tego nie wiemy – wtedy zapytać kogoś odpowiedniego. Jest to ponad połowa sukcesu.

Czy Twoje wykształcenie wsparło Twą przygodę z Cosplay'em?

W czasie, gdy robiłam szkołę. Byłam wtedy na swoim pierwszym zagranicznym konkursie. Moim zdaniem nastąpiła bardzo ważna rzecz: dobrze wykorzystałam ten fakt, to okno, że gdzieś tam ludzie mnie zobaczyli. Często jest tak; a to, czy to jest Cosplay, czy to jest konkurs śpiewania, czy to jest fenomenalny film – to nie ma znaczenia, jeżeli ta szansa nie zostanie właściwie wykorzystana. To zależy tylko i wyłącznie ode mnie. Właśnie to, że stanęłam na deskach międzynarodowych. Zobaczyło mnie ponad 50 000 osób (i gdzieś tam osoby z zagranicy) – a ja to wykorzystałam. Po prostu – czy pisać do organizatorów, czy będąc bardziej aktywną osobą w social-mediach. Mam takie umiejętności i je rozwijam. Więc nowy strój, jakieś prelekcje. Właśnie pójście na konkursy, ocenianie. Cała taka aktywność pokazująca, że byłam reprezentantem. To nie był zbieg okoliczności, bo faktycznie jestem dobra w tym, co robię. Jestem oczywiście aktywna, zajmuję się mentoringiem. Moje nazwisko krąży – i tym sposobem trafiłam do TVN-u, bo zauważono mnie jako organizatorkę Cosplay'u na Pyrkonie. Wracając do tego właśnie do tego głównego pytania: bycie projektantem (oprócz tego, że pomogło wejść w świat mody i pracować przez pewien czas jako technolog odzieży), pomogło

uporządkować pewne pytania, pewne aspekty, jakieś zagadnienia.

Jak myślisz – jakie widzisz różnice, podobieństwa, przeszkody w rozwoju Cosplay'u w Polsce?

Dopływ informacji do Polski z zewnątrz, jeżeli chodzi o środowisko cosplay'owe, był w miarę regularny. Tylko raczej kwestia historii i tego, jak się to rozwijało. Bo na przykład: kiedy wy-

prowadzałam się stąd, Cosplay był formą takiej zabawy. Brzydko mówiąc – w piwnicach Domów Kultury czy gdzieś w szatniach. Brało się to, co się miało i udawało się, że jest się kimś-tam; i tak naprawdę to nie nazywało się nawet de facto Cosplay. Tylko to był po prostu jakiś konkurs na przebranie. Taki faktycznie prawdziwy Cosplay pierwszy raz zobaczyłam w Bydgoszczy na

Reanimce^{*}. To mnie zainspirowało. Zostało mi w głowie – i właśnie, jak przeprowadziłam się do Wrocławia, to faktycznie zobaczyłam, że tam ludzie nie tylko mają te spotkania mangowe. Tam jeszcze jest dużo większa liczba konwentów, przede wszystkim nawet lokalnie w jakichś MDK-ach^{**}. Takie spotkania w jakichś też centrach handlowych, pomniejszych bibliotekach – były czymś innym, niż spotkaniem grupy ludzi właśnie w kinie. Dzisiaj wszystko jest tak bardzo ujednolicone, że nie ma już czegoś takiego. Nie sposób odróżnić Co-

splay'u z południa od Cosplay'u z północy. Raczej jest jakaś cecha charakterystyczna grupy, która robi konwenty albo cecha charakterystyczna cosplayera – ale nie ma to związku z miejscem zamieszkania w kwestii, powiedzmy, globalnej. Jeżeli mamy się porównywać do międzynarodowych konwentów za granicą – to i w kwestii Cosplay'u, i w kwestii konwentów bardzo szybko dogoniliśmy innych.

#Nie tylko barbarzyńcy – to cykl wywiadów przedstawiający sylwetki kobiet działających w szeroko rozumianej fantastyce i promujących ją.

Cykl ten przeprowadzają:

Jaśmina „Dzas” Kotlarek – organizatorka konwentów oraz eventów, larpowicz, rpgowicz, komiksyarz, improwizatorka. Zdobywczyni nagród za kreacje postaci larpowych. Założycielka pierwszej Trójmiejskiej Inicjatywy Mangowej, działaczka na rzecz NGO w Trójmieście, pracowała na rzecz trójmiejskich projektów muralowych.

Tomasz „Kruszon” Stępiński – rocznik '86, współtwórca Klubu Miłośników Fantastyki „Sagitta”. Animator życia kulturalnego, dziennikarz popkulturowy, regionalista, badacz nowych mediów, miłośnik fantastyki, filmów i komiksów. Prowadzi blog steamanalmanac.pl oraz dziejograf.pl

Kto jest dla Ciebie inspiracją, jeżeli chodzi o kobiety z byłego szeroko rozumianego fandomu – czy wspomniany wcześniej Cosplay, mangowcy, ludzie tworzący konwenty, LARP-owcy; w każdym razie myślę o kobietach?

Jeżeli chodzi o Cosplay to inspirują mnie wszystkie moje ciężko pracujące koleżanki,

które zaczynały w tym samym momencie, co ja (Shappi, Kaori i inne). Moi przyjaciele tak naprawdę, których poznałam, fotografowie, którzy ciężko pracują na swój rachunek. No też takie osoby, jak Violet czy Wonder, które są niezwykle aktywne i kreatywne. Osoby, o których myślę, staram się nie dzielić według płci. Bo to jest też dla mnie ważny aspekt. Wiem, że bardzo mocno chcemy zaistnieć jako kobiety. Na tej arenie wydaje mi się, że Cosplay jest zdominowany przez kobiety. Więc jest to niezwykle kobiece środowisko. Ale mnie zawsze inspirują osoby, które właśnie ciężko pracują na ten swój rachunek ■

^{*} Konwent Reanimcon.

^{**} Młodzieżowe Domy Kultury.

KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI
WRZESZCZ W HALLOWEEN

Znów straszą na gdańskiej Jaśkowej Dolinie; a dokładniej – przy willi Gustava Kirscha zbudowanej w latach 1904-1906. Od kilku lat pojawiają się tu halloweenowe dekoracje, które u jednych budzą grozę, a u innych przywołują uśmiech. Poprzednio mogliśmy tu podziwiać motywy m.in. z *Obcego*, *Koszmaru z ulicy Wiązów*, *Czegoś*. Zawsze makabryczne, nieustannie zaskakujące i nieodmiennie spektakularne. Gospodarzom nieruchomości nie brakuje fantazji w przywoływaniu wszelkich strachów zasiedlających rozmaite zakątki popkultury.

W tym roku we Wrzeszczu straszy Sadako Yamamura lub, jeśli ktoś woli, Samara Morgan. Prócz klasycznych wizerunków długowłosej topielicy z *The Ring* i postaci wychodzących z telewizyjnych ekranów – znajdziemy tu również klasyczne, uniwersalne „zdobienia” charakterystyczne dla Halloween: czaszki, piszczele, kościotrupy, wydrążone dynie, łańcuchy, krwawe smugi, rozcapierzone dłonie sięgające ku przechodniom, gęste pajęczne sieci. A wszystko w dobrze zaaranżowanym oświetleniu i z powiewającymi na wietrze strzępami taśm wyprutych z kaset VHS.

Załączając kilka obrazów wykonanych osobiście przy Jaśkowej Dolinie 44 – informuję jednocześnie, że już nie mogę się doczekać przyszłorocznych niespodzianek przygotowanych na celtyckie święto przez lokatorów strasznej willi ■



Fotografie Krzysztof Szkurłatowski





ADAM „CETI” CETNEROWSKI

SPIEL DES JAHRES – TOP 10, SEZON 4

ODC. 20 COLT EXPRESS

Colt Express

Autor: Christophe Raimbault

Rok wydania: 2014

Liczba graczy: 2–6 (ale nikt nie gra w to na
2–3 osoby)

Czas gry: 40 minut

Ranking BGG*: 477

Rok nagrody: 2015

Współczesna gra powinna być nie tylko ciekawą grą, ale także dobrze wyglądać na stole i przyciągać wzrok przechodniów. Taki jest właśnie *Colt Express* – gra o napadzie na pociąg przejeżdżający przez równiny Dzikiego Zachodu.

Zamiast planszy mamy trójwymiarowe, kartonowe wagony ciągnięte przez lokomotywę. W niektórych wersjach gry mamy też planszę z torami oraz tekturowe elementy terenu – skały, kaktusów i krzaków. Poza pociągiem nie ma to wpływu na grę, ale dodaje klimatu*. A specjalny dodatek pozwala dołożyć tekturowego... De-loreana (znanego z serii *Powrót do przeszłości!*).

W grze wcielamy się w bandytów, którzy napadają na pociąg, aby go obrabować. Pasażerowie wiozą pieniądze i biżuterię, a w lokomotywie jedzie walizka pieniędzy pilnowana przez Szeryfa. Każdy z graczy ma specjalną zdolność: Tuko strzela nie tylko na boki, ale w górę i dół, Doc ma przemyślany plan i ma jeszcze więcej opcji, a piękna Belle rzadko staje się celem innych graczy.

Z punktu widzenia mechanizmów jest to gra o programowaniu* ruchów. Na początku rundy każdy z graczy dobiera pewną liczbę kart ze swojej indywidualnej talii. Następnie po kolei grać zagrywają kartę – ale jeszcze nie wykonują

zawartej na niej akcji. W każdej rundzie obowiązują jednak trochę inne zasady zagrywania kart (sterowane talią wydarzeń*). Być może część kart zagrywamy zakryte (bo przejeżdżamy przez tunel), może kolejność zagrywania odwróci się w jednej kolejce. I na koniec zawsze wydarzy się coś dodatkowego (np. bunt pasażerów).

Po zagraniu wszystkich kart (co zajmuje kilka kolejek), stos zagranych kart się odwraca (najwcześniej zagrana karta będzie pierwsza) i po kolei rozgrywa się akcje. Możliwe akcje to strzał, ruch (w poziomie – między wagonami, lub w pionie – pomiędzy dachem i wnętrzem), uderzenie pięścią, podniesienie gotówki/biżuterii i ruch szeryfem. Postrzeleni bandyci otrzymują do swojej talii kartę rany – która nic nie robi, a więc „zapycha” rękę.

Jak widać – gra wymaga przewidywania i kontrowania ruchów przeciwników (część z nich widzimy, gdy są zagrywane), ale daje możliwość zmiany celu lub kierunku, gdy przyjdzie nasza kolej, co pozwala dostosować się do zmieniającej sytuacji.

Gra kończy się po określonej liczbie rund – i wygrywa gracz z największą ilością kasy (w tym premii za najlepszego strzelca).

Moja opinia

W ogólności bardzo lubię gry z programowaniem. Mogę poczuć się cwaniakiem programując ruchy, a potem cieszyć się chaosem planów, które się totalnie sypią. Nie inaczej jest też z tą grą. Jeden przekombinowany ruch, jedna niespodziewana kontra przeciwnika, jeden źle policzony krok – i zamiast ścisnąć w rękę walizkę wartą \$1000, trzymamy się dachu ostatniego wagonu i oglądamy rany na ciele.

Grę łatwo wytłumaczyć, można spokojnie grać na sześć osób bez opóźnień i skończyć w niecałą godzinę. Idealny przerwiniak lub pozycja na środę w Klubie.

(Gra jest na wyposażeniu GKF) ■

Słowniczek:

BGG – BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o grach planszowych z jedną z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF_

Gra z klimatem (ang. *theme*) – jest to subiektywna ocena, czy mechanika i tematyka gry łączą się ze sobą na tyle, aby grając można było zapomnieć o tym, że jest to gra i zanurzyć się w świecie przedstawionym. Subiektywna pozostaje też ocena, czy takie zanurzenie jest potrzebne.

Mechanizm gry (ang. *mechanism*) – elementy zasad gry, które przekładają się na sposób grania; np. w szachach czy warcbach podstawowy mechanizm to poruszanie

piekowników (figur) po szachownicy i bicie piekowników (figur) przeciwnika.

Programowanie (ang. *programmed movement*) – mechanizm polegający na tym, że gracze z góry ustalają, co zamierzają wykonać w rundzie (często za pomocą kart), następnie jednocześnie lub po kolei wykonują zaplanowane ruchy – mając niewielki wpływ na ich przebieg. Mechanizm wymaga przewidywania, co zrobią przeciwnicy i maksymalizację dostępnych opcji. Nazwa wywodzi się z pierwszej gry z tą mechaniką (*Robo Rally*), w której programowało się robota jeżdżące po fabryce.

Talia wydarzeń – mechanizm poboczny, często używany do zróżnicowania rozgrywki. Najczęściej w każdej rundzie gry odkrywana jest jedna karta, która wprowadza zmiany na planszy (np. przez ruch potworów lub dołożenie surowców) lub w sposobie rozgrywki (np. zakazując w danej rundzie jakieś czynności). W wielu grach talię przygotowuje się w sposób, w wyniku którego największe wydarzenia są na spodzie talii, co powoduje wzrost napięcia/zmian – tym samym tworząc ciekawą historię.

źródło: boardgamegeek.com





JANUSZ PISZCZEK

ZAPOWIEDZI GRUDNIA

Modlitwy do rozbitych kamieni. Czas wszystkich, światy wszystkie (Prayers To Broken Stones) – Dan Simmons

Data wydania: 1 grudnia 2023

Wydawca: Mag

Tęsknica – Anna Sokalska

Data wydania: 5 grudnia 2023

Wydawca: Zysk

Królowa ruin (A Queen of the Ruins) – K. F. Breene

Data wydania: 5 grudnia 2023

Wydawca: Niezwykłe

Bracia (Brotherhood) – Mike Chen

Data wydania: 6 grudnia 2023

Wydawca: Olesiejuk

Spęd – Mateusz Lubach

Data wydania: 6 grudnia 2023

Wydawca: Wydawnictwo Nocą

Wyspa kości (Bone Island) – Nicole Fiorina

Data wydania: 6 grudnia 2023

Wydawca: Olesiejuk

Świat skraju (Edge World) – B.V. Larson

Data wydania: 7 grudnia 2023

Wydawca: Drageus

Galaxy tom I. Antologia Pulp Magazines – red. Wojtek Sedeńko

Data wydania: 15 grudnia 2023

Wydawca: Stalker Books

Księga Azraela (The Book of Azrael) – amber v. Nicole

Data wydania: 19 grudnia 2023

Wydawca: Nowe Strony

Pierwsze lądowanie. Antologia – red. Wojtek Sedeńko

Data wydania: grudzień 2023

Wydawca: Stalker Books

Ziemia Sannikowa (Ziemia Sannikowa) – Władimir Obruczew

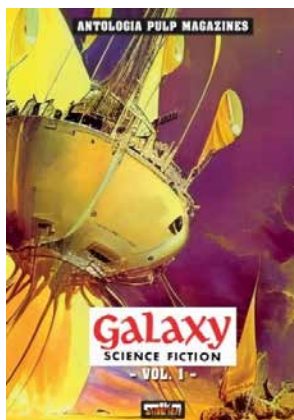
Data wydania: grudzień 2023

Wydawca: Stalker Books

Sny umarłych 2023 – red. Wojciech Gunia

Data wydania: grudzień 2023

Wydawca: Wydawnictwo IX



BARDZO WSTĘPNE ZAPOWIEDZI STYCZNIA

Nocna zmiana (Night Shift) – Stephen King

Data wydania: 10 stycznia 2024 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

W meandrach Dal-Geju (W diebrach Dal-Geja) – Jurij Tupicyn

Data wydania: 15 stycznia 2024

Wydawca: Stalker Books

Wichry Diuny (The Winds of Dune) – Brian Herbert & Kevin J. Anderson

Data wydania: 23 stycznia 2024 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Folwark Zwierzęcy. Edycja kolekcjonerska (Animal Farm) – George Orwell

Data wydania: 24 stycznia 2024 (wznowienie)

Wydawca: Świat Książki

Jadeitowy pająk – Michał Gołkowski

Data wydania: styczeń 2024

Wydawca: Fabryka Słów

Virion. Krew – Andrzej Ziemiański

Data wydania: styczeń 2024

Wydawca: Fabryka Słów

Hopelandia (Hopeland) – Ian McDonald

Data wydania: styczeń 2024

Wydawca: Mag

Aurora: koniec (Aurora's End) – Amie Kaufman & Jay Kristoff

Data wydania: styczeń 2024

Wydawca: Mag

Nocny anioł. Nemezis (Night Angel Nemesis) – Brent Weeks

Data wydania: styczeń 2024

Wydawca: Mag

Droga cienia (The Way of Shadows) – Brent Weeks

Data wydania: styczeń 2024 (wznowienie)

Wydawca: Mag

Na krawędzi cienia (Shadow's Edge) – Brent Weeks

Data wydania: styczeń 2024 (wznowienie)

Wydawca: Mag

Poza cieniem (Beyond the Shadows) – Brent Weeks

Data wydania: styczeń 2024 (wznowienie)

Wydawca: Mag

Cień doskonały (Perfect Shadow) – Brent Weeks

Data wydania: styczeń 2024 (wznowienie)

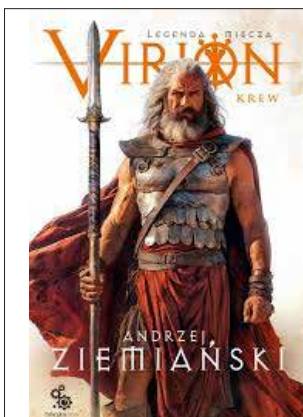
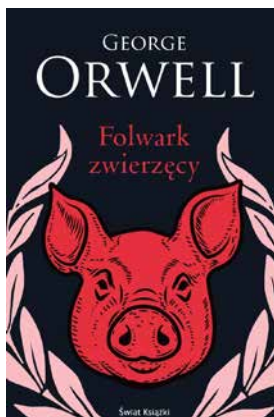
Wydawca: Mag

Pod cukrowym niebem /

W nieobecny śnie (Beneath the Sugar Sky / In an Absent Dream) – Seanan McGuire

Data wydania: styczeń 2024

Wydawca: Mag



ARTUR ŁUKASIEWICZ

Grudzień to w USA miesiąc, w którym w okresie świątecznym tłumy walą do kina – i jest to okres wypłucia przez Hollywood wszystkich tych dzieł filmowych, które planowane są na „oscarowe pewniaki” – jeśli się nie pojawiły wcześniej, oczywiście.

U nas w TV i streamingu mamy raczej okres filmowo spokojniejszy, choć i tu pojawią się „wielkie Dzieła Małego Ekranu”. Ale raczej nie będą to dzieła przełomowe. Ma być ciepło, przytulnie, świątecznie – więc wypiszę zapewne cały stos romantycznych komedii i wszelkiego rodzaju okołoświątecznych Specjałów.

- 1 grudnia

Godzilla Minus One / kino

Ludzie widzący już owe dzieło piszą, że to najlepsze Potworne Kino od lat. I bije na głowę amerykańską franczyzę. To jakby reboot dawnej *Godzilli*; bliższy temu, co zaprezentowano w pierwszym oryginalnym dziele z lat pięćdziesiątych. Bomby atomowe, loty kamikadze wprost w paszczę potwora i takie tam. Kto wie – może się nawet skuszę i pójde?

Sweet Home / sezon 2 / Netflix

I znów zombiakopotwory i ludzie, którzy walczą ze sobą i z tajemniczą zarazą. Koreańskie anime przeniesione do świata realnego. Nieco dziwne, nieco groteskowe – ale raczej dla fanów tematu. Ja nie wiem.

- 5 grudnia

Pet Sematary: Bloodlines / film / Paramount + (Skyshowtime?)

W *prequelu* powieści Stephena Kinga z 1969 roku młody Jud Crandall marzy o opuszczeniu rodzinnego miasta Ludlow w stanie Maine; ale wkrótce odkrywa ukryte w nim złowrogie sekrety i jest zmuszony stawić czoła mrocznej historii rodzinnej, która na zawsze połączy go z Ludlow. Łącząc siły, Jud i jego przyjaciele z dzieciństwa muszą walczyć ze starożytnym złem, które nęka Ludlow od jego założenia, a raz odkryte – ma moc zniszczenia wszystkiego na swojej drodze.

- 6 grudnia

It Lives Inside / kino

Horror w kostiumie Bollywood, choć zrobiony za amerykańskie pieniądze, ale przetykany gwiazdami Hindi. Podobno raczej lekko półśmieszne niż straszne i słabe niczym pasztetowa na kolację. Ale oceńcie sami. Ja z horrorów to tylko *Koziołka Matołka*...

It's A Wonderful Knife / kino /

Slasher. O! Slashery to ja nawet lubię. Pod warunkiem, że mają pokręcone, ale dające bez rycia beretu, wyjaśnienie motywów ganiań ludzi po nocy z nożem w ręku. A to podobno horrorowa zakręcona przeróbka znanego świątecznego klasyka z 1946 roku *It's A Wonderful Life*. Zaznaczam: podobno. Chociaż lubię slashery, jest jeszcze tyle filmów, których w swoim życiu nie widziałem. Poza tym idą święta, a pocztowcy mają przed świętami dużo pracy. Zwiastun jednak bawi i jest interesujący.

- 8 grudnia

Leave the World Behind / film / Netflix

Małżeństwo z dwójką dzieci wynajmuje luksusowy dom w leśnej głuszy. Niespodziewanie puka doń dwójka nieznajomych twierdzących, że są właścicielami wynajmowanego domu i przynoszą ze sobą niepokojącą wieść o tajemniczym cyberataku paraliżującym cały świat. Stopniowo okazuje się, że Ziemię czeka cyfrowa zagłada; co sprawia, że nasza rodzina musi przewartościować swoje dotychczasowe życie.

Dark Windows / kino

Klasyczna opowieść o wyprawie nastolatków do samotnego domu na odludziu celem dobrej zabawy i wypicia paru piw, która kończy się krwawą jatką dokonaną przez tajemniczego prześladowcę.

- 14 grudnia

Yu Yu Hakusho / sezon 1 / Netflix

Yusuke Urameshi, uwielbia się bić. Pewnego dnia chłopak ratuje życie małego dziecka, ale sam ginie w wypadku. Duch opiekuńczy wyjaśni mu, że nikt nie spodziewał się, że nasz bohater umrze czyniąc dobry uczynek, a suma jego win i dobrych uczynków jest w równowadze. Nie może więc trafić ani do Nieba, ani do Piekła. Dostaje szansę powrotu do Ciała, ale musi przejść próbę. Okazuje się, że wpada w sam środek intrygi związanej z ludźmi, demonami i duchami. Na podstawie japońskiej mangi.

Wonka / kino

O ja Cierpie Dolne! Ze zwiastuna wygląda cudnie, ale ja generalnie kocham pierwotnego Wonkę z Wilderem w roli głównej. Wersje Burtona – szanuję, ale to był słabszy Burton. W tym filmie mamy Timothee Chalameta, Olivie Colman, Hugh Granta i Rowana Atkinsona! Czyli obsada przednia – ale właśnie... Czy to sprawi, że będzie to film genialny? No, nie wiem. Ale na pewno sprawdzi!

- 15 grudnia

Carol & End of the World / 10-odcinkowa miniseria / Netflix

Serial raczej dla widzów dorosłych, w klimacie sitkomu. W stronę Ziemi zmierza tajemnicza planeta. Widmo nieuchronnej zagłady sprawia, że większość ludzi czuje się wyzwolona i na wyścigi realizuje swoje najśmielsze marzenia. Jednak pewna samotna kobieta przygląda się wszystkiemu z boku – zagubiona wśród hedonistycznego tłumu (opis za Netflixem). Może być cudnie; ale ja jakoś tak dziwnie mało wierzę serialom, które pozbawione są zwiastuna...

Chicken Run: Dawn of the Nugget / film / Netflix

Sequel Genialnego Filmu z 2000 roku o kurczakach chcących uciec ze złowieszczej farmy. Tym razem uciekinierzy żyją w otwartej społeczności na niedużej wyspie. Ale jest problem. Potomek naszego głównego bohatera czuje w sobie zew. Musi wiedzieć, co znajduje się poza wyspą – i za wszelką cenę chce to zobaczyć. Wylądować na z pozoru pięknej farmie; ale – czy na pewno?

- 20 grudnia

Percy Jackson and the Olympians / sezon 1 / Disney +

Obydwa filmy prezentowane swego czasu w kinach jako-tako pamiętam; choć drugi był, moim zdaniem, nieco słabszy. Oto przed nami próba opowiedzenia tej historii szkoły dla współczesnych dzieci bogów, półbogów i herosów wprost z mitologii greckiej może mieć swój urok i powab, ale raczej dla osób czujących się duchowo dość młodo, bo to seria wybitnie targetowana na młodzież. Nie skreślam, bo może być przyjemnie; ale – chyba już nie dla mnie. Spróbuję przynajmniej – a jak zażre, to obejrzę. Osiem odcinków.

- 21 grudnia

Aquaman and the Lost Kingdom / kino

Nie rozumiem, czym kieruje się firma Braci Warner z uporem maniaka brnąć w Uniwersum DC. Od czasu Batmańskiej Trylogii Nolana trwa pasmo porażek kolejnych odsłon komiksowej ferajny. Jedyne, będący niejako poza serią, *Joker* czy absolutnie odjechany pierwszy *Shazam* dawały jakoś radę. Reszta to coraz gorsze odsłony, coraz słabsze opowieści. Nieraz tu powtarzałem, że już dawno powinni sobie dać z tym spokój, bo nie umią i już! Mimo to – oni nadal wyrzucają kasę w błoto. *Aquaman* był taki lekko półśredni; a jaka będzie kontynuacja? Nie mam pojęcia i poczekam na szybki streaming, bo podejrzewam, że tak właśnie będzie.

- 22 grudnia

Rebel Moon, część 1: Dziecko ognia / Netflix

Zak Snyder (ja go niekoniecznie) za kamerą. Wielka superprodukcja w stylu *Star Wars* (początkowo od lat 13, lecz mają się pojawić też później wersje reżyserskie, ale z literką „R” przed nazwiskiem, czyli wszystkie nastolatki i tak go zobaczą – wiadomo; chyba że jakaś złośliwa mać ustawi rodzicielską blokadę). Dwuczęściowy: część druga w kwietniu przyszłego roku. Znajdująca się w głębokim skraju skraja galaktyki kolonia zagrożona jest atakiem przez Złe Siły Inwazyjne. Z owej kolonii to rusza młoda kobieta, by zrekrutować kilku szubrawców o, jak się okaże pewnie, złotym sercu, którzy honorowo i z dudkami w kieszeni będą bronić do upadłego (a przynajmniej do dnia, kiedy się kasa wyczerpie) wolności – i okaże się zapewne, że wszystko skończy się dobrze, ale może bardziej krwawo i paru bohaterów zginie. To oczywiście sto dziesiąta wersja *Siedmiu wspaniących (...i samurajów)* – WAŻNE! sprawdzić, czy owych pomocników nie będzie czasem siedmiu? ale chyba będzie ich więcej...

- 23 grudnia

What if / sezon 2 / Disney+

Drugi sezon z cyklu „co by było, gdyby Kopernik była kobietą?”. A poważnie – co by było, gdyby znane postacie z Marvelowskiej Bańki były kimś innym, niż stały się w rzeczywistości albo gdyby ich los potoczył się w nieco inną stronę? Przyznaję, że jakieś trzy odcinki serii pierwszej widziałem, ale gdzieś w natłoku spraw serię porzuciłem. Obiecuję poprawę – bo lubię, gdy coś nie jest do końca oczywiste.

- 25 grudnia

The Sacrifice Game / kino

Lata 70., Boże Narodzenie. Dwie samotne uczennice szkoły dla dziewcząt z długimi tradycjami zostają na święta w szkolnych murach wraz z wrażliwą nauczycielką. Porzucone i zapomniane usiłują udawać, że to wcale nie boli. Tymczasem w okolicy grasuje brutalny gang, który dokonuje rytualnych mordów. Każde zabójstwo przybliża jego członków do przyzwania pradawnego demona. Oraz do opuszczonej prywatnej szkoły, w której mają do odhaczenia ostatnie morderstwo. Do drzwi placówki łomczą tuż przed tym, nim na niebie pojawi się pierwsza gwiazdka. Świąteczny obiad zamieni się w krwawą jatkę. Ale w horrorze *The Sacrifice Game* nic nie jest tym, na co wygląda. Czy mordercy nie pożałują czasami, że na widok starego szkolnego budynku nie wcisnęli gazu do dechy? (za Filmweb)

BAZYLKI – CZYLI INFORMACJE ABSOLUTNIE NIE ZAWSZE FANTASTYCZNE, ALE FANTASTYCZNIE, ŻE SĄ.

Disney+ porozumiał się z BBC i otrzymał prawa do dystrybucji filmów i seriali o Doktorze Who. Z tej okazji od listopada trwa specjalne grzanie atmosfery. 25 listopada pojawi się pierwszy specjalny odcinek z okazji 60. rocznicy istnienia serialu. Odcinek zatytułowany jest *The Star Beast*. Dwa kolejne pojawią się w kolejne soboty – 2 grudnia *Wild Blue Yonder* i 9 grudnia *The Giggle*. Choć jakoś mnie *Dr Who* nigdy do siebie nie przekonał. Zbastowałem po tym, jak serial opuścił David Tennant; ale nawet i te odcinki z Tennantem nie zawsze łąpały mnie za serce. Gdy to piszę – od godziny rzeczony odcinek numer jeden jest już na Disney+. Może rzucę okiem.

ABC skancelowała reboot serialu *Cudowne lata*, który tym razem opowiadał o losach murzyńskiej rodziny w czasach amerykańskich lat sześćdziesiątych. Sam pomysł oraz nazwanie go tak, jak kultowy serial o rodzinie Arnoldów, był mocno karkołomny – i jak się okazało nie wydził. Serial padł po pierwszym sezonie.

Pewnie to jest już wiadomość przedawniona, ale powstał *Gliniarz z Beverly Hills 4*. Produkcja zrobiona została przez Paramount dla Netflix. Premiera już w przyszłym roku.

W przyszłym roku dojdzie również do premiery filmu pod tytułem *Nosferatu*. Jest to już drugi remake filmu z Munraua z 1922 roku – napisany i wyreżyserowany przez Roberta Eggersa, z Billem Skarsgårdem w roli tytułowego wampira.

Coraz bardziej przekonuję się, że *Akademia Pana Kleksa*, która zagości na ekranach w styczniu przyszłego roku, jest produkcją raczej dla nieco „starszych dzieci”, niżli dla kompletnych małać. Jestem pod dużym wrażeniem teledysku piosenki śpiewanej kiedyś przez Irenę Jarocką *Pożegnanie z bajką* – dziś wykonywanej przez Sannah i pod nieco innym tytułem *Jestem twoją bajką*. Chociaż nie jest to wersja tak bardzo zabójcza, jak wersja Comy i Ralphi Kaminskiego, która niszczy i ryje beret potwornie. Na jednym z dużych wrześnieiowych koncertów Sannah

(Warszawa) pojawił się Tomasz Kot w pełnym anturazgu Pana Kleksa i wykonał wspólnie z Sannah rzeczony kawałek. Całkiem fajny marketing ma ten film – i coraz bardziej chcę go zobaczyć. Choć Kawulski to raczej średni reżyser; i tu mam wielkie obawy, gdyż może on nie unieść ciężaru tematu i położyć film już w pierwszej rundzie. Ale zanim ocenimy – trzeba dać filmowi szansę. A ów nadchodzi wielkimi krokami.

- 1 grudnia

Timeless Heroes: Indiana Jones & Harrison Ford / dokument na Disney+

...ale jak na razie tylko w USA. Opowieść o roli, o odcinkach pięciologii i o tym, jak to wpłynęło na samego Harrisona Forda.

- 2 grudnia

Thriller 40 / dokument na Showtime

...poświęcony 40-leciu najbardziej kasowego albumu pana Michała z Jacków Prawie-Białego-Króla-Popu.

- 5 grudnia

A Disturbance in the Force: How the Star Wars Holiday Special Happened

...dokument – przeznaczony do zakupu lub wypożyczenia – czyli kto chce i ma dudki, to dawać! Usługa znana u nas, ale nie tak częsta jak za Wielką Wodą. Być może któryś-tam serwis ten materiał wstawi (podejrzewam, że być może Disney; ale to nie jest produkcja Disneya!). Czyli co się odkleiło i komu, że dopuszczono do emisji totalną katastrofę, jaką był *Star Wars: Holiday Special*. Kulisy tej pojechanej po bandzie produkcji.

Nightmare on 34th Street – horrorowa antologia

...film do zakupu lub wypożyczenia dla każdego. Ot, opowieść o Dzieciach Bardzo Bardzo Niegryzecznych, do których przychodzą Bardzo, Bardzo Niegryzeczni Mikołajowie. I odwrotnie.

- 8 grudnia

Mr. Monk's Last Case: A Monk Movie – USA Network

...powrót Wielkiego Detektywa Monka – chorego na multinerwicę natręctw genialnego śledczego. Specjalny długometrażowy odcinek. Czyżby zwiastun powrotu serialu? Wraz z Tony Shalhoubem wraca część starej ekipy – czyli Ted Levine, Melora Hardin, Traylor Howard, Jason Gray-Stanford i Hector Elizondo. U nas pewnie kiedyś na SkyShowtime; ale kiedy – to jedynie Pies Pankracy wie...





WFA PRYZNANE

Pod koniec października, w trakcie Światowego Konwentu Fantasy w Kansas City, przyznano Światowe Nagrody Fantasy. Lista laureatów najważniejszych kategorii prezentuje się następująco: najlepsza powieść – *Saint Death's Daughter* C.S.E. Cooney; najlepsza nowela – *Pomegranates* Priya Sharma; najlepsze opowiadanie – *Incident at Bear Creek Lodge* Tananarive Due; najlepsza antologia – *Africa Risen: A New Era of Speculative Fiction* Sheree Renée Thomas, Oghenechovwe Donald Ekpoki, Zelda Knight (red.); najlepszy zbiór – *All Nightmare Long* Tim Lebbon; najlepszy artysta – Kinuko Y. Craft.

grzeszcz

O PAROWSKIM DLA KONESERÓW

30 października o godz. 18:00 w kinach Helios (gdańska Metropolia i gdyńska Riviera) wyświetlony został film dokumentalny Bartosza Paducha *Fantastyczny Matt Pary*.

wg: gazeta.pl

NIECH MU ŚPIEWAJĄ OGRODY

27 listopada, w wieku 66 lat, zmarł Paweł Huelle – jeden z najbardziej gdańskich pisarzy. O jego karierze na niwie kultury oraz związanych z nią odznaczeniach długo by pisać; ograniczę się do tego, że jego twórczości nieobca była też (szeroko pojęta) fantastyczność – czemu dał wyraz chociażby w powieściach *Weiser Dawidek* oraz *Castorp* (o obu z nich miałem zresztą okazję wspominać na tych łamach). To przedwczesne odejście jest takim szokiem, że trudno dziś napisać cokolwiek więcej...

jpp

QRATOR NA PODIUM

W Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Aleksandra Majkowskiego zakończyła się XVIII edycja pomorskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”. Tym razem mottom przewodnim były słowa Wisławy Szymborskiej *Świat jest tak wielki, że wszystko jest szczegółem*. Tradycyjnie rywalizowały dwie grupy wiekowe w dwóch kategoriach rodzajowych. W grupie dorośli/proza III miejsce zajął Tomasz Magulski. Naszemu redakcyjnemu Współpracownikowi serdecznie gratulujemy; przypominając jednocześnie, że kilkakrotnym laureatem „Powiewu Weny” był inny z naszych wejherowskich korespondentów – Krzysztof Szkurlatowski.

jpp



fot. wejherowo.pl

FRAJDA DLA MŁODSZYCH I... STARSZYCH

Głośno było o realizacji nowej ekranizacji *Akademii Pana Kleksa* (reż. Maciej Kawulski, wg powieści Jana Brzechwy). A do kin wszedł także *Kajtek Czarodziej* (reż. Magdalena Łazarkiewicz, wg *Kajtusia Czarodzieja* Janusza Korczaka).

jpp

KOLEJNE FANTASY Z POLSKIM PLENEREM

Igrzyska Śmierci: Ballada Ptaków i Węży (reż. Francis Lawrence) – to *prequel* popularnego cyklu powieściowo-filmowego. Dla nas dodatkową ciekawostką jest fakt, iż do części zdjęć wykorzystano wrocławską Halę Stulecia.

jpp



CZYŻBY ZAINSPIROWAŁ ICH NASZ Dyskurs?

23 listopada wieczorem, w gdańskim Centrum św. Jana, do projekcji filmu *Metropolis* Fritza Langa zagrał na żywo zespół Bled.

wg: gazeta.pl

SENSOWNE WYKORZYSTANIE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Tę piosenkę John Lennon nagrał na domowym magnetofonie, zaś kasotę po latach odnalazła Yoko Ono. Beatlesi chcieli wykorzystać ją jeszcze za życia George'a Harrisona – jednak jakość nagrania była zbyt niska, zaś poziom szumów zbyt wysoki. Dopiero teraz, w swym nowozelandzkim studiu filmowym, Peter Jackson zaoferował odpowiednią technologię... Cóż dodać? O „ostatniej piosence Beatlesów” (oraz o pierwszym teledysku Jacksona) było ostatnio na tyle głośno, że lepiej w ciszy posłuchać po raz kolejny *Now and Then*.

jpp

ZAKRĘCONE PARADOKSY DZIEJOWE?

Podobno Johnowi Lennonowi marzyła się ongiś ekranizacja *Władcy Pierścieni*. Dla siebie przewidywał rolę Gandalfa; Frodem miał być Paul McCartney, Aragornem – George Harrison, zaś Gollumem – Ringo Starr. Ten szalony zamysł nigdy nie został zrealizowany. Natomiast reżyser prawdziwej adaptacji powieści Tolkiena najpierw nakręcił dokumentalny film o Beatlesach, potem zrekonstruował/wyczyścił głos Lennona oraz zmontował teledysk do tej piosenki.

jpp

BEZ CZŁOWIEKA SIĘ NIE OBĘDZIE?

Po niespełna trzech miesiącach z ulic San Francisco zniknęły zrobotyzowane taksówki spółki Cruise (koncern GM). Władze Kalifornii cofnęły zezwolenie ze względu na zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

wg: gazeta.pl

WIZJA TERMINATORÓW?

Na początku listopada odbył się w Wielkiej Brytanii pierwszy globalny szczyt poświęcony bezpieczeństwu związanemu ze sztuczną inteligencją (AI). Swoistym przyczynkiem (czyli dodatkiem) do tego problemu mogą być niedawne peregrynacje firmowe Sama Altmana.

jpp

PRAWDZIWY ARTYSTA O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

19 listopada, w gdyńskim Konsulacie Kultury, muzyk Mariusz Duda (grupa Riverside, indywidualna twórczość jako Lunatic Soul, album *AFRAID*) rozmawiał z publicznością głównie nt. AI; spotkanie prowadził Kamil Wicik – dziennikarz muzyczny Radia Gdańsk.

wg: gazeta.pl

POWRÓT ŻAGLOWCÓW?

Do Gdyni zawinął masowiec „Pyxis Ocean” – charakteryzujący się „twardym żaglem” (Wind Challenger). To specjalna, umieszczona na dziobie, konstrukcja z włókna szklanego; składa się z czterech, rozwijanych teleskopowo, sekcji. Po pełnym rozłożeniu powierzchnia nawiewu żagla osiąga 825 m². Na pełnym morzu pozwala to na odczuwalne ograniczenie zużycia paliwa.

wg: gazeta.pl

KOLEJNY KROK NAPRZÓD

18 listopada, z bazy Boca Chica w Teksasie, odbył się drugi próbny start rakiety Starship firmy SpaceX. Bardziej udany od poprzedniego: rakietę wprowadziła znowu eksplodowała – ale tym razem odrzuciwszy człon oraz osiągnąwszy granicę kosmosu.

wg: komputerswiat.pl

PLANSZÓWKI NA BURSZTYNOWO

ALEgramy 2023 to druga edycja Festiwalu Gier Planszowych w Gdańsku, która odbyła się 18–19 listopada w hali AmberExpo.

wg: planszowenewsy.pl

LUBI I POTRAFI

Od 25 listopada, na ogrodzeniu wokół GAK Winda (Gdańsk Wrzeszcz), oglądać można wystawę „Rysuję bo lubię” Tomasza Łosowskiego. Czytelnikom „Informatora” mogą one nasunąć na myśl rysunki Kalmara: stylizyka jest zupełnie inna, ale paradoksalne skojarzenia nader podobne (np. skrzyżowanie konia z wałkiem podpisane „Wałkoń”).

ms/jpp

ZNACZKI Z NIEUDANEGO KONKURSU

Nowa seria znaczków wypuszczona przez Poczte Polską 18 października br. jest efektem... nieudanego konkursu ogłoszonego w czerwcu tego roku. Tematem była „Sztuka XXI wieku”. Zadanie konkursowe polegało na przygotowaniu przez uczestników pięciu projektów graficznych, które miały być wykorzystane do stworzenia czterech znaczków pocztowych tradycyjnych oraz kryptoznaczków w wersji fizycznej oraz cyfrowej



(NFT) i jednego kryptoznaczką, który miał być wydany wyłącznie w wersji cyfrowej. Coś jednak nie wyszło – i planowane znaczki nie powstały. Może dlatego, że terminy konkursowe były absurdalnie krótkie. Konkurs ogłoszono 1 czerwca, a prace można było dostarczać do 26 czerwca. Nie trzeba być tużem intelektu, by się domyśleć, że przygotowanie wartościowych projektów artystycznych w tak krótkim czasie jest niebywale trudne czy wręcz niemożliwe. Zatem na początku lipca okazało się, że: Na Konkurs #Kryptoznaczek 2.0 wpłynęły 122 prace. Większość z nich nie spełniała wymogów formalnych i technicznych. Dalszy ciąg pocztowego komunikatu głosił – „Dążymy do perfekcji w każdym wymiarze, więc odstępujemy od rozstrzygnięcia Konkursu. Jeśli nie sztuka XXI wieku, to może coś równie awangardowego? Poczta zdecydowała się zatem na zlecenie (bez procedury konkursowej) Andrzejowi Grosikowi – grafikowi i malarzowi – obrazów akwarelowych, które miały się

stać podstawą do przygotowania nowych walorów. Znaczki z surrealistyczno-fantastycznymi wizerunkami balonów zaprojektował Roch Stefaniak, a tytuł nowej serii to „W przestworzach”. Bloczek pocztowy obejmuje cztery znaczki, każdy o nominalnej wartości 3,90 PLN. Poszczególne walory bloku mają własne nazwy: *W wąwozie*; *Balon pustynny*; *Balon motyli*; *Balon klasyczny*. W przedstawianym publicznie projekcie na czwartym znaczku, po prawej stronie widniał mikrotekst: BALONY W GÓRĘ/MARZEŃ LOT W PRZESTWORZACH SNU/WIATR W DUSZY GRA/rs [ostatnie litery były najprawdopodobniej inicjałami Rocha Stefaniaka]. Jednak z jakichś przyczyn wspomniany wiersz nie znalazł się na znaczkach w wersji sprzedażowej. Wymiary każdego ze znaczków to 39,5 × 51 mm, a całego bloku – 114,5 × 149 mm. Wydrukowała je w technice offsetu sześciokolorowego, na papierze fluorescencyjnym, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych S.A. Nakład wyniósł 4 × 98 000 sztuk (w wersji perforowanej) i 4 × × 2 000 sztuk (w wersji nieperforowanej – w kryptofolderze).



KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

FANTASTYCZNY FESTIWAL – GARŚĆ WSPOMNIENÍ FILMOWYCH Z GDYNI

Od trzydziestu lat co roku robię sobie tydzień wolnego od rzeczywistości na okoliczność Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Przez wszystkie te lata zdarzały się festiwale, w których poziom repertuaru był kiepski albo przeciętny, ale bywały i takie z filmami świetnymi, a może nawet fantastycznymi. Tegoroczna impreza była z tych fantastycznych. Mniej jednak chodzi mi o poziom filmowych produkcji, ale raczej o ich tematykę. Pojawiło się bowiem nieco fantastyki, w przeróżnych odcieniach gatunkowych.

Dzieląc się tą garścią festiwalowych wspomnień zastrzegam, że nie udało mi się zobaczyć wszystkich filmów pokazywanych w tym roku w Gdyni. Niestety, karnet festiwalowy umożliwia obecność na zaledwie 20 seansach. Szybko tę pulę wyczerpałem i pod koniec festiwalu musiałem już dokupować pojedyncze bilety, a to było dość obciążające dla mojego budżetu. W efekcie mogłem przegapić jakiś tytuł mający choćby pośredni związek z fantastyką.

Film **Horror Story**, reżyserski debiut pełnometrażowy Adriana Apanela, z horrorem łączy głównie *entourage* – scenografia (Radosław Zielonka), kostiumy (Małgorzata Fudala), charakteryzacja (Magdalena Tarka), pojawiający się chwilami klimat Burtonowski. „Straszny dom”, w którym znalazł się główny bohater (Jakub Zając), ma swoje tajemnice – ale to rzeczywistość poza nim może być o wiele groźniejsza.

Poza horrorowym sztafżem reszta filmu jest właściwie komedią. Momentami aż za bardzo ślapstickową. Natłok dość prostego żartu, zbyt nachalne ogrywanie śmiechem najrozmaitszych stereotypów, rubaszne poczucie humoru (choć je lubię) – może męczyć. W wielu



Jakub Zając w filmie *Horror Story*, fot. K. Grabowska [mat. prasowe 48. FPFF]



Michalina Olszańska w filmie *Horror Story*, fot. K. Grabowska [mat. prasowe 48. FPFF]

momentach, obserwując wesołkowate reakcje kinowych sąsiadów, miałem wrażenie, że spora część publiczności nie odczytywała właściwie gorzkiej ironii skrytej w niektórych scenach. Być może była ona zanadto zawoalowana. Ślapstick ślapstickiem, ale Anna Seniuk, choć ma rolę epizodyczną – jest wspaniała. Reszta obsady też udźwignęła swoje postacie. Jestem przekonany, że film znajdzie swoich wielbicieli. I będzie ich niemało.

Kolejnym debiutantem, który przedstawił w Gdyni swój film pełnometrażowy, był Piotr

Biedroń. **W nich cała nadzieja** jest rasową produkcją science fiction, której akcja dzieje się w wyludnionym świecie postapokaliptycznym. Mocną stroną filmu są piękne zdjęcia Tomasza Wójcika. Mają hollywoodzki sznyt, są dobrze kadrowane i świetnie wykorzystują światło. Brawa należą się również Łukaszowi Pieprzykowi za poruszającą, przestrzenną, klasycznie fantastyczną muzykę. No i jeszcze świetna scenografia, za którą odpowiadał Marek Zawierucha. Bardzo dobrze przygotowano plener obozowy umiejscowiony na szczycie łańdzy w Łaziskach Górnych. Oszałamiająco wyglądają też pozostałe prezentowane w filmie lokacje postapokaliptyczne. Jest w tym wszystkim głęboki oddech prawdziwego kina. Wreszcie w polskim filmie rzecz nie dzieje się niemal wyłącznie w bliskich planach, w tandetnych scenografiach. Gdybym nie znał programu festiwalowego – nie domyśliłbym się, że film umieszczono w konkursie produkcji mikrobudżetowych. Zrealizować za milion złotych coś takiego – i w taki sposób, jak zrobił to Biedroń – jest, w mojej opinii, niezwykle wyczynem.



Ewa i Artur, scena z filmu *W nich cała nadzieja*,
fot. W. Obrok [mat. prasowe 48. FPFF]

Nie nudziłem się na seansie, a to już spore osiągnięcie. Drażnił mnie jednak dość nachalny dydaktyzm w kwestiach ekologicznych/klimatycznych i migracyjnych. Również problematyka relacji ludzie-roboty została podana, w moim odczuciu, zbyt naiwnie.

Magdalena Wieczorek, jedyna aktorka na planie (nie licząc robota), miała bardzo trudne zadanie. Robiła co mogła, aby przez cały film utrzymać koncentrację widza, radziła sobie świetnie, choć utrudniały jej to zadanie wieloznaczny scenariuszowy i kiepsko napisana lista dialogowa/monologowa. Aby nie psuć potencjalnym widzom przyjemności oglądania – nie opiszę jaskrawego przykładu słabości tej listy: fragmentu obejmującego dziecinne negocjacje jedynej bohaterki, Ewy, z robotem. Sądzę, że film wiele by zyskał, gdyby – zamiast wyjaśniać na głos, co robi i po co to robi – Ewa dała szansę widzom na pracę wyobraźni i intelektem. Zamiast papierowych słów wołałbym słyszeć więcej muzyki, skrzypienia żelastwa, powiewów wiatru i widzieć żywe obrazy mówiące wszystko. Byłoby ciekawiej.

Miałym prezentem dla fanów science fiction są różnorodne nawiązania do klasyki gatunku. Jestem urodzonym marudą, więc nawet tu lekko się skrzywię, gdyż wołałbym, by nie były one aż tak oczywiste. Dobrze jednak, że jury konkursowe w Gdyni nagrodiło film Biedronia, bo może zachęci to kolejnych reżyserów do sięgania po scenariusze z gatunku sci-fi. Film naprawdę może się podobać, a świadectwem tego jest przyznanie mu kolejnej nagrody. Jest nią Srebrny Méliès (główna nagroda dla filmu fabularnego) z triesteńskiego Festiwalu Filmów Fantastycznych.



Ewa i Artur, scena z filmu *W nich cała nadzieja*,
fot. W. Obrok [mat. prasowe 48. FPFF]

W Trieście produkcję Biedronia pokazywano pod anglojęzycznym tytułem *The Last Spark of Hope*. Jury uzasadniło swój werdykt tym, że było jednomyślne w swoim wyborze, a jego członkowie oglądali film w wielkim napięciu. Spodobało im się również ciepło i człowieczeństwo relacji między głównymi bohaterami. Zdaniem jury film zmusza do zastanowienia nad wyzwaniem takimi jak: kryzys klimatyczny i ekologiczny, widmo globalnej pandemii, kryzys migracyjny, bezduszość kafkowskiej biurokracji, złożony wpływ sztucznej inteligencji na ludzkość. Ponadto doceniono elementy humorystyczne pojawiające się na ekranie – co pokazuje, że nawet w sytuacji rozpaczliwej możliwy jest śmiech, a to jest przesłanką do mówienia, że jest to również film o nadziei. Jurorzy zwrócili uwagę na scenariuszowy i reżyserski wkład Piotra Biedronia, wizualne mistrzostwo, wrażliwość i piękno zdjęć Tomasza Wójcika, elegancję montażu Marcelego Majera, a także znakomitą grę Magdaleny Wieczorek i Jacka Belera (głos robota).



Ewa, scena z filmu *W nich cała nadzieja*, fot. W. Obrok [mat. prasowe 48. FPFF]

Dom, w którym dzieje się znaczna część filmu Piotra Dumala *Fin del Mundo?*, unosi się w mgiełce absurdu, na skraju rzeczywistości nierealnej. Lewituje zawieszony gdzieś między Gombrowiczem i Mrożkiem, między *Delicatesen* a *Brazil*. Są w nim niezwykle sympatyczni umarli, jest i zwykły człowiek, który nic a nic

nie wie o swych nadprzyrodzonych zdolnościach, które mogą ocalić jego ojczyznę – a, kto wie, może i cały świat.

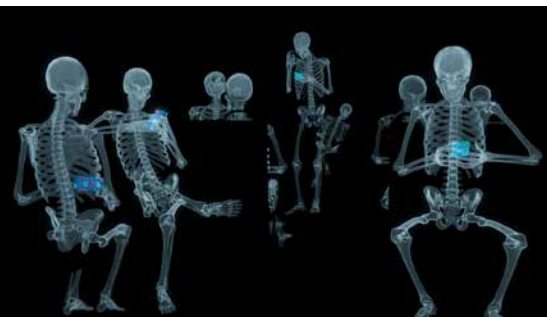
Piotr Dumała zdążył swoimi poprzednimi filmami przyzwyczaić widzów do ekstrawaganckich pomysłów, bujnej wyobraźni i nieskrępowanej kreatywności. Ci, którzy lubią grę, jaką z nimi prowadzi wspomniany reżyser, nie będą zawiedzeni jego najnowszym filmem. Jednak ci, dla których *Fin del Mundo?* będzie pierwszym kontaktem z Dumalą, mogą źle odebrać swoistą hermetyczność języka, którym on się posługuje. Zacieranie granic przestrzennych i chronologicznych, umieszczanie w cudzośćach wszystkiego, co się w filmie pojawia, nieustanne balansowanie między konwencjami – może się zdać niektórym odbiorcom nadmiarowymi działaniami, także formalnymi.



Stanisław Brudny, Helena Norowicz w filmie *Fin del mundo?*, fot. MANANA [mat. prasowe 48. FPFF]

Wszystkiego w tym filmie jest wiele – postaci, pomysłów i doznań. Nadążyć czasem trudno. I byłoby jeszcze trudniej, gdyby nie świetna robota montażystki, Agnieszki Glińskiej. Udało jej się jakimś cudem poukładać szarzę purenon-sensu, galopady absurdu, mnogości kontekstów oraz interpretacji w filmową historię. Owszem, czasami się ona dłuży, ale za to jest opowiadana przez galerię pięknych, niezwykle barwnych postaci. Stanisław Brudny, Helena Norowicz,

Gabriela Muskała, Mariusz Bonaszewski, Andrzej Szeremeta, Aleksandra Popławska, Anna Olejnik, Magdalena Różańska – wszyscy bez wyjątku świetnie znaleźli się w tej niełatwej do ogarnięcia konwencji. Grali w filmie, a wyszedł im spektakl, który skleił thriller polityczny, tragikomedię, powieść drogi, groteskę, pastisz, a może nawet poemat dygresyjny.



Scena z filmu *Fin del mundo?*, fot. MANANA
[mat. prasowe 48. FPFF]

Najbardziej fantastycznym filmem, jaki widziałem w tym roku w Gdyni, był niespełna pięćdziesięciominutowy esej Kuby Mikurdy i dwójki innych twórców, **Solaris Mon Amour**. Gdybym zależało to ode mnie – choć nie był

filmem konkursowym (zaprezentowano go w ramach pokazów specjalnych) – właśnie on dostałby najważniejsze nagrody.

To film nielinearny; to pulsujący rytuał wizualno-emocjonalny; to sen, który można śnić w nieskończoność, choć ma swój początek i koniec. Widzowie tego nie wiedzą, i się nie dowiadują, że oglądają na początku i na końcu krótkie fragmenty edukacyjnego filmu Andrzeja Brzozowskiego *Archeologia*. Widzą detale z wykopalisk prowadzonych po wojnie w pobliżu krematorium w Brzezince... Zagłada, w różnych rozumieniach oraz w różnych wymiarach, jest obecna w *Solaris Mon...*

Choć wyjściem do pracy nad filmem było czytanie i przeżywanie twórczości Lema, to potem dochodziły intensywne filtry niezwykle osobistych przeżyć. A do tego jeszcze bliska współtwórca z autorem dźwięku, Marcinem Lenarczykiem, oraz montażystką, Laurą Pawełą. Co ważne – nie była to jedynie kooperatywa fizyczna czy intelektualna, ale również uczuciowa. W przypadku omawianego filmu ten ostatni aspekt jest nader istotny. Właśnie przez to nie da się ściśle wyznaczyć granic indywidualnego autorstwa. O ile Mikurda był niewątpliwie



Kadr z filmu *Solaris Mon Amour*, fot. archiwalna WFO
[mat. prasowe 48. FPFF]



Kadr z filmu *Solaris Mon Amour*, fot. archiwalna WFO [mat. prasowe 48. FPFF]

pomysłodawcą i autorem struktury filmu, to już przebieg narracji tworzył się w zbiorowej synergii, w wymianie emocjonalnej zachodzącej między wspomnianą trójką. Czasem dźwięk i muzyka wymuszały zmiany w obrazie i montażu, a czasem to montaż wpływał na muzykę i obraz. Pojawiają się w filmie słowa, m.in. fragmenty dialogów z radiowych, słuchowiskowych adaptacji lemowskiej *Solaris*. Przy ich wykorzystaniu nie chodziło jednak o znaczenie słów – lecz o ich dźwiękowe, muzyczne, brzmienie.

Cały film powstał w technice *found footage*, a to dało efekt surrealistyczny. Fragmenty kilkudziesięciu filmów z archiwum Wytwórni Filmów Oświatowych oderwane od swojego pierwotnego znaczenia, a potem połączone z nowym dźwiękiem i zmontowane w autorski sposób – opowiadają o osobistych emocjach twórców *Solaris Mon Amour*.

Ze spotkania autorskiego po projekcji filmu wiem, że traumy przeżywane przez bohaterów Lemowskiej *Solaris* są bliskie naszym autorom. Kris Kelvin przeżywa tragiczną śmierć Harey, ale i Kuba Mikurda oraz Marcin Lenarczyk mają za sobą bolesne rozstania z bliskimi sobie osobami. Lemowska *Solaris* musi być im bliska. Ich własna *Solaris* może być formą pracy z osobistym bólem, trudnymi uczuciami, żałobą.

Solaris Mon Amour to coś absolutnie różnego od poprzedniego filmu Mikurdy – *Ucieczki na srebrny glob*. Są to zupełnie filmy nieporównywalne. Oba lubię, ale to *Solaris*... poruszyło mną do głębi.

Choć od gdyńskiego festiwalu minęło już kilkadziesiąt dni – to emocje filmowe wciąż we mnie żyją i naprawdę nie mogę się doczekać kolejnej jego edycji. Czego i Wam życzę... ■

JUSTYNA KOWIESKA
Wieża

Poniższa nowela zajęła III miejsce w literackiej części gdańskiego Konkursu Siudmakowskiego /red./

Pozbądź się wszelkich przyziemnych myśli i otwórz się na Jedyną Moc, Córkco.

Słowa Najwyższej Matki rozbrzmiewały w jej głowie. Mimo że nie przybyła do Wieży z własnej woli – szła naprzód. Ściany z ciemnego wapienia emanowały Mocą, a ta pulsowała w jej umyśle. Uderzała w nią, chcąc skruszyć wolę i kusząc kapitulacją.

Straszyła cierpieniem.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Nie była pierwsza i – póki stoi Wieża – dziewczęta będą przybywać do Klasztoru Matek, by prosić o radę, uzdrowienie, o wyznaczenie drogi czy (podobnie jak ona), by podjąć się próby.

Wieża stawiała zacięty opór. Ostrzegano ją, że im silniejszy Talent, tym droga ku niej stawała się dłuższa. Podobno korytarz stanowił pierwszą formę obrony. Jakby włąły człowiek mógł stanowić dla Wieży jakiegokolwiek zagrożenie. Narzucić jej swoją wolę? Zburzyć? Rozebrać kamień po kamieniu, wydłubując spoiwo i rozrzucając na wietrze?

Niemożliwe!

Szła i myślała o swojej pielgrzymce.

Wyczerpana, za zakrętem nareszcie znalazła posiłek. Miskę gorącej, tłustej zupy i wino oraz suchy chleb i wodę. Dotarcie do Drzwi zajęło jej wiele godzin, czuła to w kościach, tym bardziej poczuła ulgę na ten widok. Musiała teraz podjąć decyzję.

Zaskoczyło ją, jak ciężko jej było odrzucić supę. Naprawdę miała na nią ochotę! W domu jadła zwykle cienki rosół, gotowany na odrobinie mięsa, jeśli bracia mieli szczęście i udało im się coś upolować. Mięso zostawiali matce i najmłodszej siostrze. Obie chorowały.

Każdy kęs chleba popijała wodą, uważając, by nie uронić ani kropli. Chleb był twardy, więc nie musiała martwić się o okruczchy. Żując marny posiłek, czekała. Drzwi miały otworzyć się w odpowiednim czasie – dokładnie w chwili, gdy Wieża uzna, że Córkca jest gotowa.

Znużona, zapadła w niespokojny sen. Kilkakrotnie wybudzała się, za każdym razem roztrzęsiona, z sercem bijącym jak oszalałe. Patrzyła wtedy w stronę ciężkich, drewnianych Drzwi, przerażona, że mogła przegapić Otwarcie.

Zadrzała na tę myśl.

Nagle poczuła ogarniający ją chłód dochodzący spod Drzwi. Rozbudzona na dobre, uświado-miła sobie, że ma pełny pęcherz. Podniosła się obolała i odeszła w kąt. Przykucnęła nad cynowym nocnikiem, unosząc prostą tunikę, nałożoną na znak skromności i pokory. Cała jej próba miała być pełna pokory. Śmiała się z tego w duchu, w swoim życiu nie nosiła nic więcej, prócz wielokrotnie cerowanej tuniki z surowego lnu.

W chwili, gdy wiązała sznurki bielizny, Drzwi lekko się uchyliły. Wiedziała, że nie może ich dotknąć. Stała więc ze spuszczoną głową, korząc się przed Mocą i uzewnętrzniając swoją skruczę. Dokładnie jak jej przykazano.

W duchu jednak cieszyła się z przyziemnych rzeczy. Była najedzona i mogła opróżnić pęcherz. Jej głowa była wolna i – póki nie podda się słowom Matek – wolna pozostanie.

Gdy kolana zaczęły jej drżeć od bezruchu i zmęczenia, Drzwi nareszcie rozchyliły się na tyle, by mogła przecisnąć się przez szczelinę. Dostała dokładnie tyle, ile potrzebowała.

Weszła.

Podobno Wieża była odzwierciedleniem najgłębszych koszmarów Córek wchodzących na wijące się wokół obsydianowego rdzenia Schody. Rdzeń był gładki, bez najmniejszego zadrapania, a czerń surowa i czysta. Nie znalazła ani jednej żyłki mlecznego kwarcu, najmniejszego oczka krwistych rubinów czy, niczym liście otaczających je szmaragdów, tak obficie wypełniających świątynne ściany Klasztoru. Wieża była dumna i to ona miała być najdroższym klejnotem.

Naliczyła dwie setki stopni, nim straciła rachubę. W chwili, gdy skończyła liczyć, uderzyła w nią ściana piasku. Wściekle tumany ostrego pyłu raniły jej twarz, niczym igły. Skuliła się zakrywając ramionami głowę i czekała.

Cisza zaległa tak nagle jak nadeszła burza. Brudna od pyłu i krwi, wypływając z ust resztki piasku, rozejrzała się po pustynnej okolicy. Nocne niebo nie przypominało tego, które tak dobrze знаła.

A co, jeśli to nie jest noc?

Na samą myśl o Królestwie Pod Szarym Niebem ogarnęła ją trwoga. Jej obawy potwierdziła majacząca w oddali budowla. Brama z kości, górujące nad okolicą żebra, niczym makabryczny pomnik. I pustka wokół niej. Samotna, bez straży i murów, pewna siebie klatka, której nie dało się obejść. Skrywała serce tego świata, wszystkie dusze na tyle nieszczęśliwe po śmierci i zagubione w swojej rozpacz, że nie potrafiły dostrzec właściwej drogi, by wyrwać się z jej objęć. Wzywane obietnicami wpadały w nieskończony wir tęsknoty. Przez wieki więzione w jej wnętrzu, karmione goryczą, powoli rozpadały się w pył, pokrywając ziemię po drugiej stronie bramy.

Nie mogła przejść przez Bramę, jako żywa istota jedynie obserwowała pielgrzymki duchów podążających za jej zwodniczym wezwaniem.

Zamarła, gdy rozpoznała w ponurym korowodzie dwie eteryczne postacie: kobietę w sile wieku i drobniutką, trzymającą ją za rękę dziewczynkę. Choć próbowała z całych sił, nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Trzymała ją za gardło niewidzialna ręka, koścista i zimna, zmuszając do patrzenia.

Brama ściągnęła jej umysł. W chwili, gdy kobieta z dziewczynką przekroczyły jej próg, poznała jak wpadają w bezdenną głębię. Ujrzała, jak wypełnione żalem, bólem i kłamstwami cierpiały, rozpoznając w tym wszystkim jej winę.

Załkała głucho. Bez łez.

To nie ja, to nie moja wina!

Chciała krzyczeć, lecz odkryła, że gardło ma wysuszone, a jej ciało powoli usycha pozbawiane życiodajnych wód.

Opadła bezwładnie daleko od Bramy. W jej kierunku ciągnęły się rozorane ślady, jakby wyżłobione kościstymi palcami.

Dotarło do niej, że wszystko, co obiecały jej Matki, było kłamstwem. Zdradą.

Wyrachowaną grą.

Jej zgoda, wymuszona szantażem, miała służyć ratowaniu matki i siostry. Naiwnie wierzyła, że gdy odejdzie z Zakonem, kapłanki spełnią dane jej słowo i uzdrowią je.

Nakarmiono ją kłamstwem.

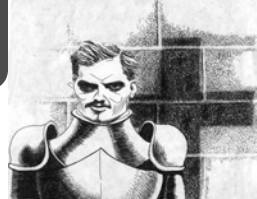
Wieża podarowała jej prawdę, teraz ona musiała dokonać wyboru. Boskość, którą otoczyły się Matki, była niczym więcej, jak grą cieni na ścianie. Zrozumiała, że chcąc żyć w prawdzie, musi opuścić podarowaną jej jaskinię.

Nawet nie zauważyła, kiedy z powrotem znalazła się na Schodach. Otaczająca ją czerń wydawała się teraz przejrzysta, klarowna. Tylko w tym miejscu była czysta. Nawet Świątynia Mocy była skażona złudnym bogactwem mieniącym się na ścianach.

Ból przestał jej doskwierać. Dopóki była zatopiona we własnych myślach, dopóty mogła pewnie stąpać po twardych stopniach. I póki nie zrozumiała, czego Wieża od niej żądała, nie mogła dotrzeć na szczyt. Szczyt okazał się niczym więcej jak wierzchołkiem góry, przewyższającej wszystkie, które widziała w swoim życiu. Otoczona z każdej strony chmurami, poczuła się jak panna młoda skryta za ślubnym welonem. Dała się prowadzić Mocy. Nie była pewna, czy to ręka Boga, czy Wieża wplata w jej myśli swoją wolę. W chwili, gdy wróciła na Schody – wiedziała, że pozwoli jej się prowadzić. Stanie się naczyniem dla Mocy, ręką wymierzającą sprawiedliwość.

I zasiądzie na Tronie ■

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



KORESPONDENCJA 146

O CZYM BY TUTAJ...

Porwałem się na lekturę drugiej części cyklu Radka Raka Agła (pt. Aurora) i okazało się, że tych 770 stron nie byłem w stanie przeczytać między jednym a drugim kolegium redakcyjnym „Informatora”. Swoją opinią na temat tej powieści podzielię się z Wami zatem dopiero w następnym, grudniowo-styczniowym, numerze naszego magazynu – tym samym muszę zmienić plany odnośnie swojego felietonu. Ale, parafrazując pewną łacińską sentencję, życie nie jest konieczne, pisanie zaś jest.

2 listopada okrutny los zadał fandomowi polskiemu straszliwy cios, zabierając nam **Piotra „Raku” Raka**. Choć nigdy bym się nie ośmielił nazwać go swoim przyjacielem, to należał on do tej grupy moich fandomowych znajomków, z którymi zawsze i wszędzie znajdowałem wspólny język i dobrze czułem się w ich towarzystwie (mam nadzieję, Raku, że i Ty postrzegałeś mnie podobnie). Poznałem go w trakcie swojego pierwszego konwentu – krakowskiego Euroconu z 1991 roku. Szliśmy wówczas silną Angmarowską grupą z naszym Nieśmiertelnym Sztandarem (postradanym już w grudniu tego samego roku na jelitkowym Nordconie) do akademika, w którym znajdowała się rejestracja konwentu, gdy na szczycie schodów przed drzwiami wejściowymi pojawiło się dwóch facetów w średnim (jak mi się wówczas wydawało) wieku, choć byli wtedy młodsi niż ja, gdy piszę teraz te słowa. Nie pamiętam już dziś, kto z naszej kompanii ich rozpoznał, ale zaczął machać do nich rękoma, na co oni odpowiedzieli równie spontanicznie – i w ten sposób, bez większych ceregieli, już po chwili ścisnąłem dłonie Piotra Cholewy i Piotra Raka. Śmiało więc mogę napisać, że to oni byli ojcami chrzestnymi mojej fandomowej inicjacji (tak naprawdę bycie prawdziwym fanem rozpoczyna się z chwilą wyjazdu na pierwszy konwent). Chyba nikogo nie może dziwić, że od zawsze miałem pewną

słabość nie tylko do obu Piotrów, ale i do całego ŚKF-u (a zwłaszcza do Tolkienowskiej frakcji tego klubu). Z Rakiem widywaliśmy się przez te 32 lata wielokrotnie (a przecież za rzadko!) i nawet w najczarniejszych chwilach gdańsko-śląskich relacji, potrafiłiśmy znajdować ze sobą wspólny język, a przede wszystkim rozmawiać. Imponowała mi jego wiedza na temat fantastyki, liczne znajomości z fantastami z zagranicy (nie zdawałem sobie sprawy z tego, że był ambasadorem polskiego fandomu wśród czeskich fanów), a także to, że – jak na fantastę przystało – posiadał zawsze najnowocześniejsze elektroniczne gadżety, i to z najwyższej półki. Był niezrównanym, obdarzonym wybitnym poczuciem humoru gawędziarzem i duszą towarzystwa, przy którym zawsze miło spędzało się czas. No i najważniejsze: otwartym i życzliwym człowiekiem. Po raz ostatni widziałem się z Piotrem w 2021 roku i żałuję, że z tego spotkania nie wycisnąłem więcej. Niestety, człowiek nigdy nie wie, czy spotka się z drugim choćby jeszcze raz, dlatego – z pozycji dziadka – radzę Wam: Nie zaniedbujcie relacji ze znajomymi!

*

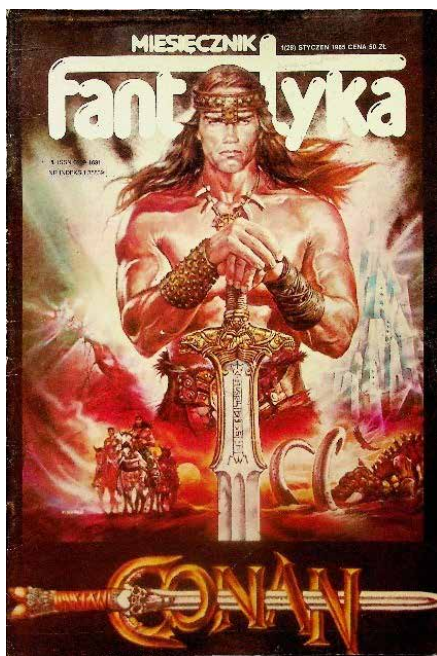
Filmowi, o którym poniżej, należałby się sążniste esej, a może nawet monografia (pewnie powstała już niejedna), bo to najważniejszy

obraz w swoim gatunku, a także pierwszy w moim życiu, który obejrzałem na video. Nie jestem jednak w stanie w tej chwili niczego podobnego napisać, dlatego zostawię tutaj tych kilka uwag, być może kiedyś uda mi się je rozwinąć. Dlaczego mimo tego zdecydowałem się podjąć ten temat? Otóż w ostatnim czasie zupełnym przypadkiem (ale czy aby na pewno?) wpadłem na poświęcony temu dziełu videoblog, a przygotowując biuletyn XXXVI Nordconu, natknąłem się na informację o prelekcji mu poświęconej. Takiej koincydencji nie sposób się oprzeć, zatem *ad rem*.

41 lat temu miała miejsce premiera **Conana Barbarzyńcy** Johna Miliusa, ze scenariuszem Olivera Stone'a i Miliusa, z Arnoldem Schwarzeneggerem w roli głównej. Twórcy i producenci przenieśli na kinowy ekran świat wykreowany przez arcy mistrza *heroic fantasy* Roberta Ervina Howarda i przygody jednego z najważniejszych bohaterów literatury fantasy. Dał on początek całemu legionowi podobnych dzieł (również telewizyjnych), z których żadne nie zbliżyło się jednak poziomem do pierwowzoru – i to bez względu na to, ile kasy wyłożono na ich produkcję (najlepszym dowodem *Conan Barbarzyńca 3D* z 2011 roku, który nie tylko *Conanowi Niszczycielowi*, ale nawet *Red Sonji* nie dorastał do pięt). Już chociażby z tego powodu należy się *Barbarzyńcy* szczególne miejsce w historii filmowej fantastyki.

Co zadecydowało o niewątpliwym sukcesie tego obrazu? Moim skromnym zdaniem scenografia i kostiumy. Twórcom filmu udało się przenieść na ekran świat Ery Hyboryjskiej w stopniu zadowalającym; i to w czasach, kiedy dekoracje trzeba było fizycznie wybudować i sfotografować tak, żeby nie było widać, z czego są one zrobione (deski, papa, styropian, drut itp.). Uszyto też setki kompletów strojów, niektóre – co prawda – niewymagające zbyt wielu materiałów, ale na przykład w końcowych

scenach, kiedy przy świątyni Seta zbierają się tysiące pielgrzymów, to każdy z tej masy starych nosił własny strój. Jeszcze inną sprawą była broń, która gra w tym filmie równie ważną rolę i to od pierwszej sceny. Te wszystkie miecze, sztylety, topory, młoty, łuki, hełmy czy zbroje lśnią i olśniewają, zwłaszcza w rękach aktorów, którzy potrafią nimi robić. Natomiast spoiwem, który połączył wszystkie te elementy filmowego dzieła i uczynił z niego obraz ponadczasowy, była genialna muzyka Basila Poledourisa. Pompatyczna, jeżąca wszystkie włosy na ciele, przeszywająca ciarkami kark, urzekająca i niwelująca wszystkie niedociągnięcia filmu. Genialnym posunięciem było wykorzystanie chóru, którego dialogi z dęciakami i kotłami wręcz wyrwywają z butów. Czytelnicy śledzący moje felietony mogą się zapewne dziwić, że jako zawołany fan muzyki elektronicznej tak tu się rozplątam nad orkiestrowo-chóralną ścieżką *Conana*, ale nic nie poradzę na to, że



najlepsze soundtracki do filmów sf i fantasy wykonują orkiestry (wyjątkiem jest tu tylko *Blade Runner* do którego syntezatorowe ścieżki stworzył Vangelis). Co prawda mistrzem w tej kategorii zawsze będzie dla mnie John Williams, ale Poledouris (też Grek – czy to przypadek?) spisał się znakomicie i trudno wyobrazić sobie, aby ktoś inny mógł lepiej muzycznie zilustrować ten obraz.

Może mi tu ktoś zarzucić, że za bardzo rozwodzę się nad podrzędnymi składnikami filmowego dzieła (scenografia, kostiumy, muzyka), nie dotykając nawet elementów pierwszorzędnych: scenariusza czy gry aktorskiej. Moja kontrowersyjna teza jest jednak taka, że kino fantasy (podkreślam: fantasy) to rodzaj widokówki z baśniowego (mitycznego) świata. Z grubsza dobrze wiemy, co się wydarzy, o co toczy się gra – w tych kwestiach niewiele może nas zaskoczyć. Twórcy muszą zatem wycisnąć ile się da z tła opowieści, by się ją dobrze oglądało. Ale scenariusz, nad którym najbardziej napracował się Oliver Stone, nie jest przecież pierwszą lepszą rąbaniną, eksponującą wyłącznie mięśnie i bitewną sprawność herosa (Arnold nie miał w tym filmie dublera, bo nie znaleziono kaskadera w jego rozmiarze) i negliż głównej bohaterki. Autorzy wpadli na genialny pomysł, by przedstawić losy Conana niemal od samego początku, choć przekaz o tym, że narodził się na polu bitwy, został przez nich twórczo zmetaforyzowany. Obserwujemy zatem jego dzieciństwo i młodość (genialna sekwencja z kieratem), których śladów próżno szukać u Howarda, aż do udanej ucieczki z niewoli, po której narracja przechodzi do fabuły opowiadań znanych z Conanowskiej „Fantastyki” (I/1985): *Spotkania w krypcie* Lina Cartera i Lyona Sprague’a de Campa oraz *Wieży słonia* REHa (ta koincydencja też nie była zapewne przypadkowa). Dalej jest już trochę oryginalnego materiału,

bo Conan i s-ka zostają zmuszeni do przyjęcia zlecenia od króla Osrica, którego córka przyłączyła się do kultu Seta i czarnoksiężnika Thulsy Dooma. Szczęśliwym trafem z tym drugim Cymerianin (taką formę wolę, choć chyba większość fanów Conana używa wersji Cymeryjczyk) ma niewyrównane rachunki – łączy więc przyjemne z pożytecznym. Przygodowa fabuła, różnorodne lokacje, niezłe, choć przecież daleko bardziej stateczne tempo od współczesnych standardów – to wszystko sprawia, że film ogląda się przyjemnie nawet dziś. I to pomimo tego, że tak naprawdę na planie pojawiła się raptem trójka doświadczonych aktorów, z Maksem von Sydowem oraz Karlem Earlem Jonesem na czele (tą trzecią była Sandahl Bergman). Oszczędne *emploi* Schwarzeneggera w zupełności wystarczyło do uwiarygodnienia postaci barbarzyńskiego osiłka, szukającego dla siebie miejsca w hybrydańskim świecie.

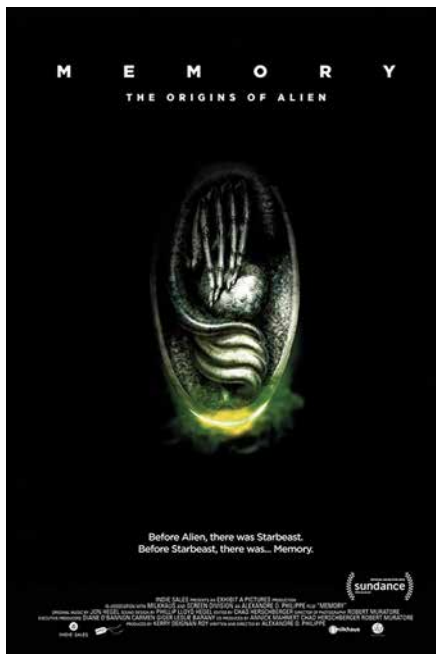
Wspominałem już, że sukces *Conana Barbarzyńcy* sprawił, że filmy *heroic fantasy* zaczęły powstawać jeden po drugim. W znanym serwisie z filmami i muzyką można znaleźć co najmniej kilka zestawień tego typu tytułów z podziałem na płci czy tematykę. Znakomita większość tych produkcji nie dotarła chyba do Polski, ja w każdym razie się z nimi nie zetknąłem. Z filmów, które miałem okazję obejrzeć, zapamiętałem jedynie dwa: *Barbarzyńców* z braćmi Peterem i Davidem Paulami oraz *Władcę zwierząt*. Ten drugi był chyba nawet lepszy od *Conana Niszczyciela* i *Czerwonej Sonji* (która miała być ponoć trzecim, niezrealizowanym *Conanem* z Arnim – ostatecznie jednak palmę pierwszeństwa oddano w nim herosce; ciekawostką jest, że u boku Schwarzego i Brigitte Nielsen zagrała znana z *Barbarzyńcy* Bergman). Chociaż wszystkie te tytuły (a zapewne i te mi nieznane – wnioskuje na podstawie obejrzanych teaserów) powtarzały dokładnie

strategię Miliusa i Stone'a, nie powtórzyły już sukcesu *Conana* (nawet *Niszczyciel* zawiódł, mimo że Arnold próbował w nim żartować, a eteryczna uroda Olivii d'Abo w zestawieniu z drapieżnym *sex appeal*em Grace Jones stanowiły mieszanekę piorunującą). Być może taka uroda *heroic fantasy*, że udaje się tylko raz.

Na całe szczęście na tej fali powstało kilka innych zjawiskowych filmów fantasy: *Ciemny kryształ*, *Legenda*, a wreszcie *Willow*, po którym stało się jasne, że aktorska adaptacja *Władcy Pierścieni* to tylko kwestia czasu. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść...

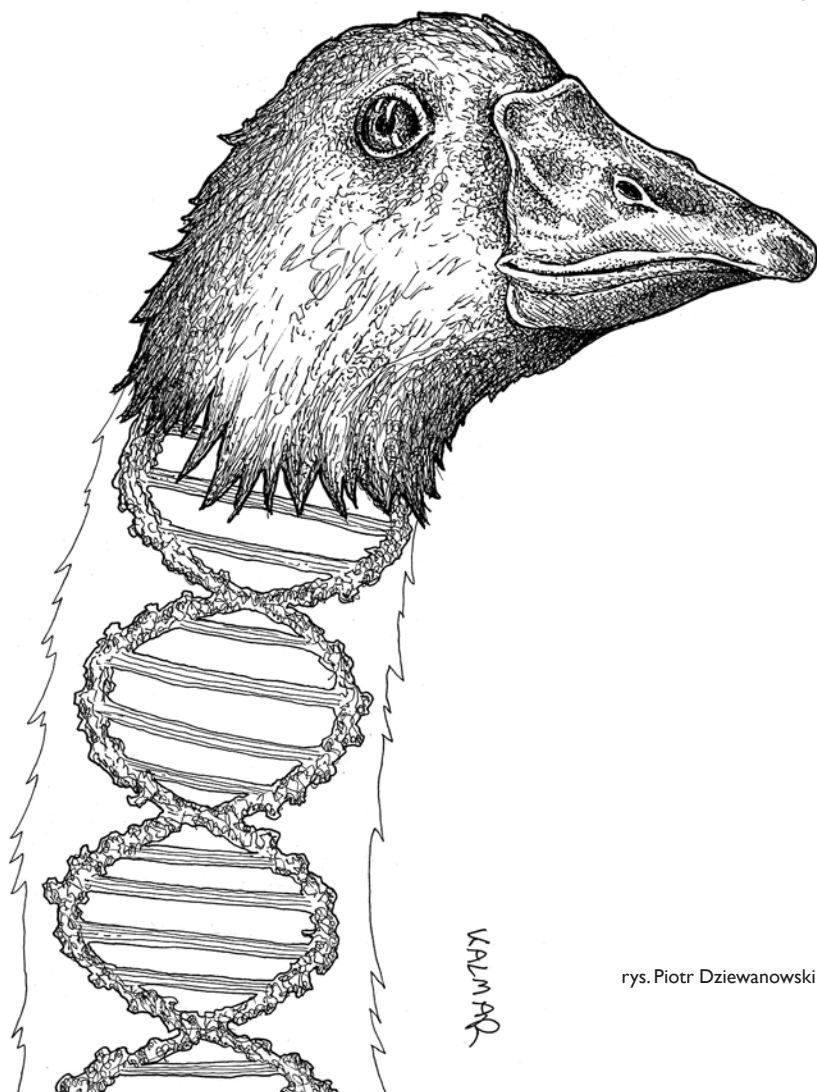
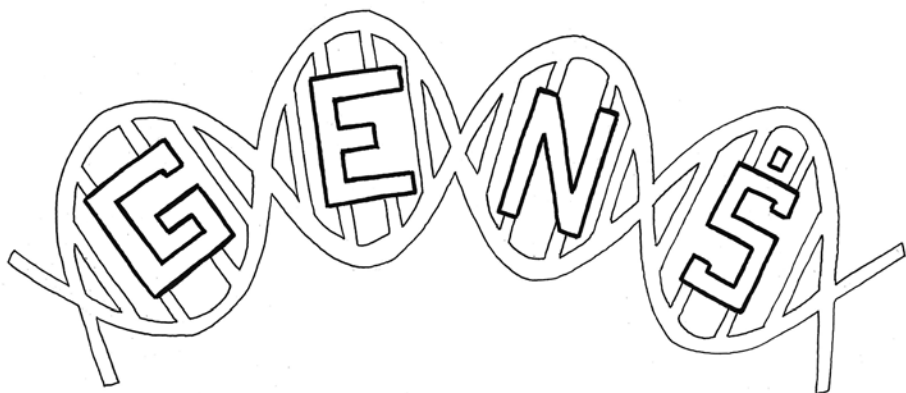
*

W drugiej połowie listopada obejrzałem na TVP Kultura film **Wspomnienia: geneza „Obcego”** (USA 2019). Dokument ten powstał z okazji 40-lecia powstania *Aliena*, ale ja wpadłem, dosłownie, na niego dopiero teraz. Nie będę się więc wygłupiał i streszczał tezy krytyków i twórców wypowiadających się o arcydziele Ridleya Scotta i Dana O'Bannona, choć trudno było mi znieść feminazystyczne bzdury nt. marzeń o męskim gwałcie, penetracji, uprzedmiotowieniu i kwestionowaniu pozycji kobiet w rzeczonym obrazie. Moją uwagę przykuł natomiast fragment poświęcony logicznym nonsensom zawartym w obrazie, a zwłaszcza rozrzuconym, poruszającym się kartkom papieru czy padającemu z luku ładowni deszczu. W kosmicznej próżni takie fenomeny są rzeczywiście absurdalne, ale Scott uparł się, by zostawić je w filmie. Ciekawe, że żaden z tych mądrali nie wpadł na to (a może wpadł, tylko cenzor to wyciął), że obie te sceny wprowadzają do filmu wymiar transcendentny i to w ujęciu skrajnie chrześcijańskim – wiatr i deszcz są bowiem symbolem Ducha Świętego. Pozwala to przenieść dramat załogi *Nostromo* na metafizyczny



poziom. Oto zmuszeni przez okoliczności i skuszeni przez pazerność, udają się na spotkanie z prawdziwie wcielonym złem. Pycha i chciwość sprawiają, że sprowadzają na pokład nasienie zła, które z czasem pochłonie ich wszystkich. Nawet ta, która przeżyje, w finale (tzn. w części trzeciej), będzie musiała poświęcić siebie, by ostatecznie odkupić swój pierworodny grzech. Tak, ten film rzeczywiście jest znacznie głębszy niż *Gwiezdne wojny* oraz cała masa kręconej pod koniec lat 70. XX wieku filmowej fantastyki. W pojedynku na chrystologiczne motywy ustępuje tylko *Łowcy androïdów* (Czy to nie dziwne, że jego reżyserem jest również Scott?). Prawdziwą zagadką jest jednak to, że ten sam twórca nakręcił potem *Prometeusza* oraz *Obcego: Przebudzenie* – krytycznie odnoszących się do religijnych przesłań swych wcześniejszych dokonań ■

Wasz wielkokacki korespondent



KALMAR

rys. Piotr Dziewanowski (Kalmar)

MICHAŁ BLEJA ZANURZ SIĘ

Na początek głupie pytanie: czy znacie zwrot „zanurzyć się w książce”? Jasne, że znacie, bo zwrot ten jest tak wyświechtany, że właściwie przestał znaczyć cokolwiek. To taki zapychacz, pozwalający dobić do wymaganej przez zleciennodawcę artykułu liczby znaków. Albo tekst, jakiego można spróbować podczas próby poderwania dziewczyny z intelektualnymi ambicjami, która jednak nie uodporniła się jeszcze na frazesy. O zanurzaniu się w książce piszą też czasami licealiści w wypracowaniach oraz bardzo początkujący recenzenci literatury, do których, nawiasem mówiąc, ja też się zaliczam.

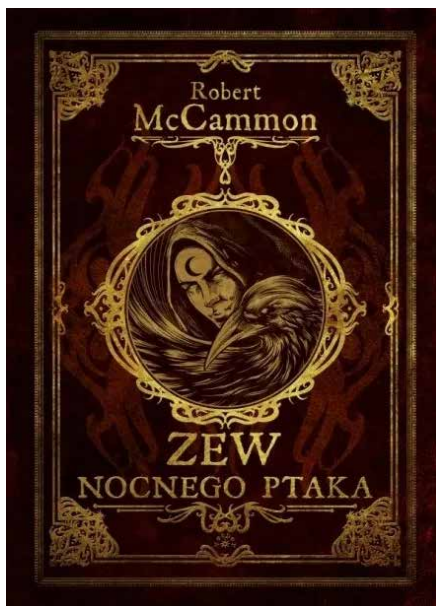
A jednak ze mną i z *Zewem nocnego ptaka* tak właśnie było – od pierwszego rozdziału zanurzyłem się w tej książce po szyję, następnie po uszy, a w końcu wzięłem i w niej utonąłem. Wybaczcie mi, proszę, egzaltację, ale przysięgam, że nie przesadzam. Dlatego postanowiłem napisać o tej powieści, mimo że to fikcja nie-fantastyczna. Idę jednak o zakład, że większość fanów fantastyki, zwłaszcza grozy, przeczyta ją z wypiekami na twarzy. Tak samo jak ja.

Skoro już wiemy, że to nie fantastyka, wyjaśnijmy, czym właściwie jest powieść McCammona. Otóż mamy do czynienia z bardzo specyficznym retrokryminałem, czyli gatunkiem reprezentowanym m.in. przez *Imię róży* Umberto Eco czy serię *Mock* Marka Krajewskiego. Z tych dwóch McCammonowi znacznie bliżej do Eco. Udało mu się stworzyć podobny klimat, równie interesującą fabułę i – uwaga – jeszcze ciekawszego bohatera.

Akcja powieści osadzona jest na głębokiej prowincji Nowej Anglii w roku 1699. Sędzia Woodward podróżuje ze swoim sekretarzem Matthew Corbettem do miasteczka Fount Royal, aby wydać wyrok w sprawie kobiety oskarżonej o czary. Sprawa wydaje się prosta: prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka są przekonani o winie kobiety – i wręcz przebijają nogami, aby ujrzyć ją płonącą na stosie. A jednak, jak się okazuje, sprawa wcale prosta nie jest. Można się tego zresztą domyślić zaraz

po wzięciu książki do ręki. Gdyby była prosta, McCammon nie napisałby na ten temat ponad 900 stron.

Tym, co rzuca się w oczy już na kilku pierwszych stronach, jest doskonałe przygotowanie autora. McCammon w przekonujący sposób oddaje realia siedemnastowiecznej Karoliny, unikając jednocześnie długich i nudnych opisów, jakie znamy z Conrada czy innej Orzeszkowej. W tym celu, po pierwsze, sięga po pozornie nieistotne szczegóły (jak to, że pod koniec XVII korzystano raczej z nocników



i wiader niż wyposażonych w spluczkę ustępów), a po drugie, zawęża horyzonty bohaterów do rozmiarów właściwych ludziom wówczas żyjących. Niby powinno to być oczywiste w przypadku powieści dotyczącej tak odległej przeszłości, a jednak autorzy, które takowe piszą, zazwyczaj albo tego nie robią, albo robią to znacznie słabiej. W Fount Royal mamy więc do czynienia z ciemnotą tak przejmującą, że współczesny – piśmienny i w miarę wykształcony – człowiek ma ochotę po prostu wejść do książki i nawrzucać czcigodnym Anglikom od buractwa i dzikusów.

Główny bohater, Mathew Corbett, to nie przeciętnie inteligentny młodzieniec, obdarzony (a może przeklęty) nieodpartą ciekawością, mający brzydką cechę kwestionowania tego, co powszechnie wiadomo. Mathew jest takim brylantem, który nie może rozbłysnąć, bo z każdej strony lecą na niego odchody. Nie wszystkie jego hipotezy są słuszne; jednak od początku wiadomo, że nikt inny nie jest w stanie dotrzeć do prawdy. Działa i myśli inaczej niż ludzie, których spotyka – co strasznie ich denerwuje. Umniejszają go więc, mieszają z błotem, a nawet serwują chłostę... co jednak jest niczym w porównaniu z tym, co robią domniemanej czarownicy.

Na tym tle rozgrywa się fabuła, od której nie mogłem się oderwać. Sieć powiązań pomiędzy mieszkańcami Font Royal – którą Mathew musi zrozumieć, aby dotrzeć do sedna sprawy – z każdym kolejnym odsłoniętym fragmentem okazuje się bardziej splątana. Mimo że, jak to w kryminałach bywa, tajemnicę odkrywamy krok po kroku, to jednak proces ten jest nieliniowy. Zaułki, ślepe uliczki, fałszywe tropy – mamy tu tego mnóstwo. Zarzykuję stwierdzenie, że chyba żaden z bohaterów kryminałów, jakie miałem przyjemność czytać, nie mylił się i nie robił błędów tak często jak Mathew. A jednak z pozycji czytelnika nie da się podważyć jego przenikliwości. Jedno, co można mu zarzucić, to odrobina naiwności, która jeszcze dodaje tej postaci realizmu. W końcu Mathew dopiero co skończył 20 lat.

Zew nocnego ptaka to pierwszy tom cyklu, który absolutnie zamierzam przeczytać w całości. Jestem niezmiennie ciekaw nie tylko dalszych perypetii głównego bohatera, ale też tego, jak będzie się zmieniał i rozwijał. Po pierwszym tomie można wysnuć wniosek, że rozwój bohatera jest dla autora ważny – i że na pewno nie zaniedba go w kolejnych tomach. Już ostrzę sobie na nie zęby! ■



rys. Adam Mateja

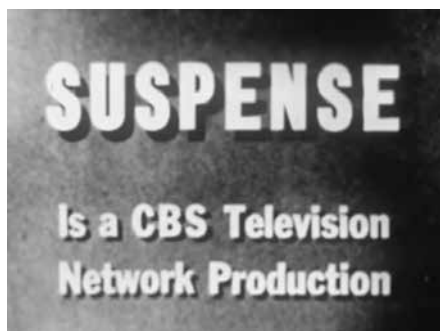
ARTUR ŁUKASIEWICZ

LEKSYKON SERIALI FANTASTYCZNYCH.

ROZDZIAŁ 0 (FRAGMENT DZIEWIĄTY)

ANTOLOGIE C.D.

5. *Suspence* CBS, 6 sezonów, pierwsza emisja (odcinek zerowy) 8 listopada 1948 r., regularna emisja 1 marca 1949 r., ostatnia emisja 17 sierpnia 1954 r.



Antologia „prawie” fantastyczna.

Uczciwie należałoby przyznać, że serial *Suspence* jako pierwszy wyemitował odcinki, które można uznać za fantastykę grozy, jednak nie można jednoznacznie i z całkowitą mocą uznać go za serial fantastyczny w całości. Gros jego odcinków to co najwyżej thrillery lub opowieści o tematyce kryminalno-sensacyjnej.

Serial jest telewizyjną adaptacją programu radiowego. Ów, nazywający się identycznie, przetrwał znacznie dłużej i był emitowany aż do roku 1962.

Można spokojnie rzec, że większość z dwustu sześćdziesięciu wyemitowanych odcinków było po prostu wcześniej prezentowane w radiu. Spora część owych słuchowisk zachowała się również – i przy odrobinie dobrej woli można się na nie natknąć w sieci.

Program nadawany był oczywiście na żywo ze studiów CBS w Nowym Jorku. Głównym sponsorem serii była korporacja Auto-Lite, zajmująca się produkcją akcesoriów samochodowych. Prowadzący program Rex Marshall zwykle paradował z kombinezonie roboczym z nazwą firmy, tak iż przypominał pracownika warsztatu samochodowego.

Część odcinków była skróconą adaptacją klasyków literatury kryminalnej i sensacyjnej. Dla serialu adaptowano również całkiem współczesne historie.

W serialu pojawiali się Bela Lugosi, Leslie Nielsen, Boris Karloff, Lloyd Bridges i wielu innych.

Dzięki zapisowi kineskopowemu udało się ocalić od zapomnienia około dziewięćdziesięciu odcinków, obejmujących właściwie cały okres nadawania serialu.

Jeśli chodzi o odcinki „fantastyczne” – to z całą pewnością mogę z zachowanych opisów historii wymienić piętnaście, które jako-tako spełniają moją wewnętrzną definicję fantastyki. Czasami jest to jednak dość cienka granica między thrillerem a fantastyką.

Zaznaczyłem dostępność w internecie niektórych z nich, które zweryfikowałem samodzielnie. Prywatnie żałuję, że nie zachował się ten z Królem Stanisławem Augustem Poniatowskim

Sezon I

- Odcinek 3:

Cabin nr B-13 – emisja 29 marca 1949 r.

Richard i Anne Brewster, małżeństwo kilka godzin po ślubie, wypływa do Europy

w 3-miesięczny miesiąc miodowy na pokładzie liniowca „Maurevania”.

Kiedy meldują się w kabinie B-13 – Richard odchodzi, by przekazać całą ich gotówkę otrzymaną z okazji ślubu kasjerowi, Anie zaś idzie na górny pokład i czeka na Richarda. Ale małżonek się nie pojawia. W niewytłumaczalny sposób znika i nikt nie wie, gdzie jest ani nikt go nie widział. Zgłasza kapitanowi jego zniknięcie i wtedy dowiaduje się, że ani ona, ani jej mąż nie są pasażerami, a to, co jak twierdzi, że było ich kabiną, nie istnieje. Na statku po prostu nie ma kabiny B-13.

Reżyseria: Robert Stevens.

Scenariusz na bazie własnej opowieści: John Dickson Carr.

Występują: Charles Korvin – Richard, Eleanor Lynn – Anne, Rex Marshall – narrator.

• Odcinek 7:

A Night at an Inn – emisja 26 kwietnia 1949 r. (dostępny)

Trójka marynarzy z floty handlowej i ich nieco tajemniczy przywódca (w tej roli Boris Karloff) ukrywają się w jednej z portowych gospód na terenie Wysp Brytyjskich. Właśnie przybyli z Indii, gdzie ukradli bezcenne rubinowe oko ze świętego posągu. Wiedzą, że są śledzeni przez wysłanników z Indii, którzy przybyli po klejnot, dlatego postanawiają urządzić w gospodzie pułapkę na swoich prześladowców. Zasadzka się udaje i wszystko wydawałoby się jest w porządku – póki nie zjawia się sam święty posąg, by odzyskać oko i wymierzyć karę złodziejom.

Reżyseria: Robert Stevens.

Scenariusz: Halsted Welles.

Adaptacja sztuki teatralnej Lorda Dunsany.

Występują: Boris Karloff – Toff, Jack Manning – Bill, Barry Macollum – Sniggers, Anthony Ross – Albert, Joan Stanley – Maid, Rex Marshall: narrator, gospodarz programu.

• Odcinek 8:

Dead Ernest – emisja 3 maja 1949 r. (dostępny)

Ernest Bowers przechodząc przez ulicę ma atak katalepsji i zapada w śpiączkę przypominającą śmierć. Wszyscy są przekonani, że został zabity przez przejeżdżający samochód; jego ciało zostaje wysłane do miejskiej kostnicy. Płaszcz, z notatką w kieszeni opisującą jego stan zdrowia, zostaje zabrany przez właściciela sklepu z używaną odzieżą i szybko sprzedany. Para, która kupiła płaszcz, znajduje notatkę i rozpoczyna wyścig z czasem, by uratować Ernesta przed przedwczesnym balsamowaniem.

Reżyseria: Robert Stevens.

Scenariusz: Reginald Denham i Marry Orr.

Scenariusz pierwotnego słuchowiska: Seeleg Lester i Merwin Gerard.

Muzyka: Hank Sylvern.

Występują: Tod Andrews – Henry Prince, Harry Davis – Driver, Will Hare – Ernest Bowers, Patricia Jenkins – Margaret Bowers, Mac McLeod – Cop, Barry Macollum – Jerry Murdoch, Rex Marshall – narrator, Margaret Phillips – Fran Prince, Joshua Shelley – Tony, Fred Stewart – Al.

• Odcinek 10:

The Monkey's Paw – emisja 17 maja 1949 r.

Przeklęta przez indyjskiego fakira zmumifikowana małpia łapka trafia w ręce starszego małżeństwa White. Podobno spełni trzy życzenia, ale mają one dość wysoką cenę – jako karę za manipulowanie ludzkim losem. W wyniku splotu nieszczęśliwych okoliczności pierwsze życzenie zostaje wypowiedziane. Pieniądze na spłatę zaległej hipoteki pojawiają się niespodziewanie, niestety ukochany syn małżeństwa ginie wypadku.

Reżyseria: Robert Stevens.

Scenariusz: Frank Gabrielson.

Muzyka: Hank Sylvern.

Na podstawie opowiadania Williama Wy-marka Jacobsa o tym samym tytule.

Występują: Boris Karloff – pan White, Mil-dred Natwick – pani White.

6. *Studio one*, 10 sezonów CBS, pierwsza emisja 7 listopada 1948 r., ostatnia emisja 29 września 1958 r. Sezon 1 – nadawany początkowo w niedzielę, potem w śro-dy 19:30–20:30. Sezony 2–10 nadawane w poniedziałki 22:00–23:00.



Flagowa antologia stacji CBS, oparta częściowo na dziełach literackich, potem zaś całkowicie autorska i wykorzystująca nowe teksty. Jej wpływ był na tyle istotny, że dzieła pokazywane w tej antologii często były przerabiane na scenariusze filmowe i przechodziły do klasyki kinowej. W tej serii pojawiła się chociażby pierwsza adaptacja powieści George'a Orwella *Rok 1984*, a także oryginalna, napisana na potrzeby antologii, wizja *Dwunastu gniewnych ludzi*. Do annatów historii telewizji przeszła też na poły dokumentalna próba pokazania od kulis pracy nad słynnym słuchowiskiem radiowym Orsona Wellesa *Wojna światów*.

W ramach całej serii pokazano przeszło pięćset odcinków antologii. 17 odcinków uważa się za całkowicie zaginione. Zachowała się jednak dość spora liczba odcinków tej antologii, do których jest łatwy dostęp.

Oczywiście na potrzeby tego rozdziału interesuje nas jedynie sezon I. Niestety, nie zachował się żaden z interesujących nas odcinków.

Sezon I

- Odcinek 11:

Moment of Truth – emisja 17 kwietnia 1949 r., 19:30–21:30

Opowieść skupia się na grupie oczekującej na ostatni samolot z podbitej Wielkiej Brytanii, a której celem jest Ameryka. Piątka uchodźców walczy o miejsce w samolocie. Chce jak najszybciej opuścić okupowaną przez komunistów Wielką Brytanię. Jeden z uchodźców okazuje się być komunistycznym szpiegiem. Grupa podejmuje decyzję, by go uwolnić – w imię wyznawanych przez siebie demokratycznych ideałów. Gdzieś w tle widzimy zdevastowane zgliszcziska Europy tuż po wojnie atomowej.

Producent: Worthington Miner.

Na podstawie opowiadania Storm Jaminson, adaptacja Joseph Liss i Fletcher Markle.

Występują: Leo G. Carroll, Betty Furness oraz Paul Branson – głos (gospodarz programu).

- Odcinek 16:

The Dybuk, emisja – 1 czerwca 1949 r., 19:30–20:30

Według starej rosyjskiej sztuki Żyda Solomona Ansky'ego o miłości, która trwa aż poza grób. Oparta na żydowskich opowieściach i wierzeniach, dziejąca się w małym miasteczku żydowskim na wschodzie, historia o niespełnionych obietnicach, które należy wypełnić, by opętane przez Dybuka ciało mogło w spokoju odejść w zaświaty.

Adaptacja: Joseph Liss.

Producent: Worthington Miner.

Reżyser: Paul Nickell.

Występują: James Lamphier, Arnold Moss, Mary Sinclair.

[dokończenie w numerze #396]

ARTUR ŁUKASIEWICZ

GDY W FANTASTYCE FILMOWEJ DZIAŁY SIĘ RZECZY STRASZLIWE – CZYLI MIĘDZY MÉLIÈSEM, LANGIEM I KUBRICKIEM

(CZĘŚĆ PIERWSZA)

Drogi Janku!

Może zaczniemy od początku. Od George'a Mélièsa.

Zapoczątkował – ale czy stworzył gatunek kina SF? Bądźmy szczerzy. Méliès nakręcił podobno ponad 500 filmów, z czego zachowało się ok. 200 – i tylko dlatego, że kopie tych filmów znajdowały się nie u samego Mélièsa, ale u jego brata Gastona w USA, który prowadził „Star Films” (amerykański oddział jego firmy) i były konfiskowane przez procesującego się z firmą Edisona – uważającego, że ma monopol na produkowanie filmów. Częściowo też dzięki temu, że kopie filmowe zostały sprzedane wędrownym cyrkowcom-iluzjonistom, po latach odkupione za ciężkie pieniądze.

Sam Méliès dużą część swoich własnych filmów zniszczył lub sprzedał do przeróbki w celu wykorzystania celuloidu do produkcji obuwia. Nie wierzył w swoje dzieła, którym poświęcił około 15 lat swego życia.

Ja zaś poświęciłem ok. trzech godzin i dzięki „Św.Youtubowi” i obejrzałem ciurkiem ponad sto filmów Mélièsa. Chciałem sobie wyrobić zdanie o twórczości tego pana – i oto do czego doszedłem.

Filmów *stricto* filmowych, mających choćby „załączek scenariusza”, w tym gronie jest gdzieś tak 40%. Fantastycznych – takich, które z czystym sumieniem do fantastyki mogłem, moim zdaniem, zaliczyć – było kilka. Oprócz, znanej wszystkim i szalenie popularnej na całym świecie, *Podróż na Księżyc – Królestwo Wrózek*,

Pałac Tysiąca i Jednej Nocy, *200 tysięcy mil pod morską podróżą* czy w końcu *Podróż niemożliwa*. Reszta – to jedynie magiczne sztuczki z wykorzystaniem efektów specjalnych, pozbawione odrobiny całościowej narracji. Nowatorskie jak na tamte czasy wykorzystanie efektów specjalnych; ale nic poza tym.

A nawet uważnie przypatrując się filmom przeze mnie wymienionym jako fantastyczne, to – oprócz dużej pomysłowości w kreowaniu świata i dopracowanej dekoracji (bo do tego się te filmy ograniczały w dużej mierze) – i tu mamy dość duże narracyjne „przerwy”, w których girlsy wykonują taniec, znikają i pojawiają się różne przedmioty. A aktorzy parady w skomplikowanych scenicznych ruchach, które bardziej przypominają zwariowane figury taneczne.

A co do samych efektów specjalnych.

Legenda, że Méliès odkrył jeden swoich pierwszych efektów, tak zwanej uciętej głowy, z powodu zacięcia się taśmy filmowej nie za bardzo trzyma się kupy, gdyż pojęcie stopklatki istniało już wcześniej we wczesnych latach istnienia „laterna magica” i nie było niczym nowym. W dodatku pierwszy był de facto Edison, który na rok przed narodzinami filmu Melies'a zastosował identyczny efekt w *Egzekucji Marii Stuart* w 1895 roku. Aktorka kładła głowę pod topór; po czym następowała stopklatka. Następowąla zamiana głowy na ucharakteryzowaną jak głowa aktorki dynię, papierową kulę i temu podobne. Film uruchamiano – i aktorka „traciła głowę”.

Nie umniejszam jego zasług w kreowaniu innych efektów filmowych, ale jedynie w tej materii mogę mu przyznać jako takie pierwszeństwo. Świadomie czy nie, jednak on pierwszy wysłał ludzi w kosmos i tutaj muszę pochylić przed nim głowę. Ale jedynie tu.

Moim zdaniem Méliès w głębi ducha pozostał jedynie magicznym iluzjonistą, a film był jedynie bardzo użytecznym narzędziem, by ową iluzję doskonale pokazać. Jeśli korzystał z elementów fantastyki – to w bardzo „surrealistycznym anturazhu”, za co zresztą pokochali go właśnie surrealiści kilkanaście lat później, kiedy był już tylko „sprzedawcą w sklepie swojej żony na dworcu kolejowym”.

Ale tak. Był pierwszym, który z fantastyki uczynił sukces kasowy. Na tyle duży, że istnieje wersja hiszpańska jego filmu z 1908 roku nakręcona „kubek w kubek” tak samo, tylko w nieco innych dekoracjach – taki dziś powiedzielibyśmy „skserowany remake”.

Dorobek iluzjonisty z Paryża, choć dla filmu znaczący, jednak nie przekonuje mnie do uznania go za ojca kinowej fantastyki. Fantastyka filmowa – ma, jak się można domyślać, wielu ojców.

Czy byli inni, którzy uczynili fantastykę filmową bardziej konkretną? Oczywiście. Jest ich całkiem spora lista. Wybrałem co bardziej znaczące i istotne pozycje.

1909 r. *The Airship Destroyer* (*Niszczyciel Aeroplanów*), reżyseria Walter R. Booth – krótkometrażówka o ataku Sterowców na Londyn oraz dzielnym obrońcy. Pierwsza wizja zniszczonego bombami miasta. Nakręcona w dużej mierze na otwartym terenie, a nie w studiu!

1910 r. *Frankenstein* – Edisonowska wersja opowieści o losach szalonego naukowca, który pragnie wskrzeszać martwych.

1913 r. *Der Student von Prag* (*Student z Pragi*), reżyseria Stellan Rye – pierwszy film ekspresjonistyczny. Ubogi student w zamian za

zaszczyty bogactwo i sławę sprzedaje magikowi własny cień.

1916 r. *Verders Undergang* (*Koniec świata*), reżyseria August Blom – duńska opowieść o komecie spadającej na ziemię i zagładzie naszej planety. W miarę realistyczne sceny spadających meteorytów i pożogi z tym związanej.

1918 r. *Himmelskibet* (*Niebiański statek*), reżyseria Holger-Madsen – duńska wyprawa dzielnego kapitana i jego załogi na planetę Mars, gdzie spotykają miłą pokój społeczność. Miłość sprawia, że przeciwności i różnice zacierają się. Ludzie zaczynają rozumieć, że miłość i pokój mogą być ważniejsze niż przemoc, wojna i pożoga. Bardzo pacyfistyczne przesłanie filmu – nakręcony podobno po to, by propagować pokój na ziemi zamiast wojen. Zwróćcie uwagę na datę powstania. OK! Nieco naiwny i nienaukowy, ale pierwszy o rozbudowanym kontakcie z innymi cywilizacjami!

1921 r. *Körkarlen* (*Furman Śmierci*), reżyseria Victor Sjöström – szwedzka opowieść grozy. Opowiada o przesądzie mówiącym, iż grzeszny człowiek, który jako ostatni umrze w noc sylwestrową tuż przed początkiem nowego roku, w ramach pokuty – będzie przez cały następny rok zbierać wszystkie zmarłe dusze i wieźć na Sąd Ostateczny. Ten film miał wielki wpływ na twórczość Ingmara Bergmana, Stanleya Kubricka – i był ceniony przez większość niemieckich ekspresjonistów, z którymi twórczość Sjöströma jest często utożsamiana, a w dużej mierze zafascynowani nim byli zarówno Lang, jak i Munrau.

W tym miejscu świadomie robię stop, gdyż wkraczamy w epokę, w której domino wało kino miej lub bardziej nakierowane na grozę i horror. Pytanie jednak, czy tego typu twórczość zaliczamy do *science fiction*? Problem w tym, że horror, opowieści niesamowite, kino grozy jest z reguły przypisywane światu fantasy, a nie *science fiction*. Dlatego



pisząc o genezie SF – trudno zaliczać je do tej szufladki.

Pomijam więc w tym miejscu obszerną filmotekę niemieckiego ekspresjonizmu, wymienię tylko największe z nich: *Gabinet Doktora Caligari*, *Nosferatu* – symfonia grozy, *Doktor Mabuse*, *Gabinet figur woskowych*, *Nibelungi* – bo nie dotyczą one tematu. Pragnę jedynie zaznaczyć, że większość z nich zainteresuje jedynie osoby o zacięciu historyka filmowego, gdyż – jakby tu oględnie napisać – są długie, z dzisiejszej perspektywy mało atrakcyjne dla osób o współczesnej percepcji – trudno przyswajalne. I tak, kilka z nich było autorstwa Fritza Langa.

Ja jednak zatrzymam się na dłużej przy Fritzcu Langu i *Metropolis*, który raczyłeś, Janie, wymienić jako jedyny istotny film.

Ha!

Lang zaczynał jako reżyser kina, które dziś byśmy nazwali „Nowej Przygody”. Serial kinowy (nigdy nie ukończony pod nazwą *Pajaki*) to istna mieszanina filmu o tajnym bractwie, szalonych i pachnących westernem napadach na bank, poszukiwaniach cennego skarbu i dzielnym ich poszukiwaczem łamiącym ręce przestępcom i serca kobietom. Wypisz wymaluj – Indiana Jones kina niemego. Potem było kilka nieco mrocznych romansów: *Dżuma we Florencji*, *Das Wandernde Bild* czy *Vier um die Frau* (tytuły w oryginale; bo jakoś nie znalazłem polskich odpowiedników – być może nigdy do nas oficjalnie nie trafiły?).

Dopiero potem pojawiła się *Zmęczona śmierć* – pierwsza historia o tematyce fantastycznej i bliskiej horrorowi.

Nibelungi – starogermański epos spopularyzowany przez Wagnera i sfilmowany przez Langa jest bliski światu fantasy, rycerzom, kartom, tajemniczym pierścieniom i walce o władzę. To brzmi jak filmowa wersja literatury fantasy. Ale to wciąż nie jest temat naszej rozmowy.

Zajmijmy się *Metropolis*.

Problem w tym, że przez bardzo długi czas byłem tym filmem zafascynowany. Mocno nawet. Jednak z czasem przyszło pewne otrzeźwienie. Tak, to film o wielkim rozmachu, wspaniały i zarazem przerażającej wizji świata. Miasto-moloch. Z jednej strony pięknoduchy – żyjące na górnych partiach wielkich wieżowców. Z drugiej robotnicy – ciężko pracujący, by ci drudzy mogli się bawić. I wszystko to powstało dzięki myśli genialnego władcy tego miasta! Taaa... robotnicy z pokorą wykonali swoją pracę, stworzyli miasto i z pokorą dali się zamknąć pod ziemią. A potem wszyscy dają się omamić kobiecie-robotowi, stworzonej przez nieszczęśliwego szaleńca Rotwanga, który najpierw podbija serca paziów-bawidamków z wyższych sfer, a potem podburza nieszczęsny lud robotniczy do walki o swoje prawa. Zły robot w końcu zostaje zniszczony, ku uldze jednych i drugich. A na końcu wszyscy sobie piją z dziubków i *Zgoda, zgoda – i Bóg wtedy rękę poda!*.

Troszkę kpię, ale taka jest prawda. *Metropolis* to znów jedynie piękne, oszałamiające dekoracje – wzorowane na nowojorskim Manhattanie; jednak scenariuszowo to raczej osobliwa mieszanina romansu, futurystycznej wizji świata i para komunistycznego przewrotu, zakończono absurdalną zgodą, która nic istotnego nie wnosi ani nie rozwiązuje problemów *Metropolis*.

Cóż, ta historia jest po prostu głupia. Nie sposób nie zgodzić się ze Słonimskim w „Wiadomościach Literackich”, ale też nie sposób zgodzić się z Anatolem Sternem piszącym w tej samej gazecie o owej nikczemnej, kobiecej ułomności scenariusza (takie to były cza-sy!). Fakt, że zarówno scenariusz, jak i powieść o tym samym tytule (nomen omen wydana również w Polsce w 1927 roku, opatrzona filmowymi fotosami) jest niestety typowym przejawem wczesnej socjologizującej fantastyki,

która dziś jest co prawda pewnym uzupełnieniem brakujących wątków w filmie (choć co prawda odkryto w 2008 roku w Buenos Aires najwierniejszą kopię trwającą dwie godziny i 29 minut wersję filmu, to podobno nadal nie jest to dzieło ostateczne – gdyż kopie filmu systematycznie niszczone z chwilą, gdy Lang okazał się z powodu swoich żydowskich korzeni niewygodny dla III Rzeszy). Mnie, zanim znaleziono akurat tę wersję, udało się zobaczyć zmasakrowaną, ale „niepobawioną swoistego uroku” kopię trwającą godzinę i 22 minuty z muzyką Giorgio Morodera, która akurat mnie bardzo pasi; i to na tyle, by – przebywając we Włoszech – zakupić za kilkanaście euro kopie na DVD akurat tej wersji. W „Iluzjonie” Filmoteki Polskiej widziałem też kopię nieco dłuższą – około dwugodzinną, do której przygrywał na pianinie jeden z muzyków jazzowych. Wybaczyć, ale nie pamiętam jego imienia i nazwiska, bo było to zgoła trzydzieści parę lat temu.

Chciałbym jednak przejść do filmu znacznie ważniejszego dla fantastyki naukowej niżli *Metropolis* – i też wyreżyserowanego przez Fritza Langa. Chodzi mi o rok późniejszy film *Kobieta na Księżycu*.

Niech was tytuł nie zmyli! Co prawda jedyna z bohaterek w tym filmie jest rzeczywiście kobietą, która postanawia wraz z męską załogą wyruszyć w kosmos, ale głównymi bohaterami są mężczyźni starający się z jednej strony przekonać naukowców, że lot na Księżyc jest możliwy, z drugiej strony obronić własne plany

przed zakusami przestępców, chcących przechwycić plany i wykorzystać je do własnych celów. Dopiero potem ruszamy w kosmos.

Jednym z najistotniejszych czynników w tym filmie było to, że Lang, zafascynowany możliwością lotu w kosmos, do współpracy zaprosił dwóch niemieckich naukowców: Hermanna Obertha, twórcę teoretycznych podwalin kosmicznego lotu oraz jego kolegę, popularyzatora lotów w kosmos Willy’ego Leya.

Naukowcy zajęli się przygotowaniem modelu rakiety, która umożliwiałaby lot na Księżyc, a także warunkami, jakie muszą być spełnione, by rakieta uniosła się w powietrze, doleciała, gdzie trzeba i wróciła. Problem w tym, że naukowcy, chcąc być bardzo wiernymi ówczesnej wiedzy, zaprojektowali i pokazali sam model rakiety, elementy naprowadzające raketę i sposób startu na tyle szczegółowo i wiernie, że może w 1928 roku mogły wyglądać zgoła fantastycznie, to w roku 1936 – już nie, bo pokazane w filmie wyposażenie rakiety niebezpiecznie przypominało to, co zostanie wykorzystane w niedalekiej przyszłości w produkcji niemieckiej „wunderwaffe” V2. Nikt byłby tego nie zauważył, gdyby nie to, że faszystowska Rzesza zaczęła cichcem wycofywać film z dystrybucji filmowej, a zwłaszcza na rynkach, powiedzmy, konkurencyjnych technologicznie. Ale nawet nerwowa reakcja hitlerowskich Niemiec nie spowodowała zerknięcia się właściwych trybików w umysłach amerykańskich naukowców, a temat został właściwie dopiero „odkryty” w chwili, kiedy po wojnie niemieccy naukowcy uświadomili swoich przyjaciół z USA, że mieli rozwiązanie zagadki V2 właściwie na wyciągnięcie ręki.

Jest jeszcze jeden film fantastyczny bliski naukowej fantastyce, ale o nim w następnej części, gdzie będziemy się kierować ku reżyserowi niefantastycznemu – Stanleyowi Kubrickowi ■

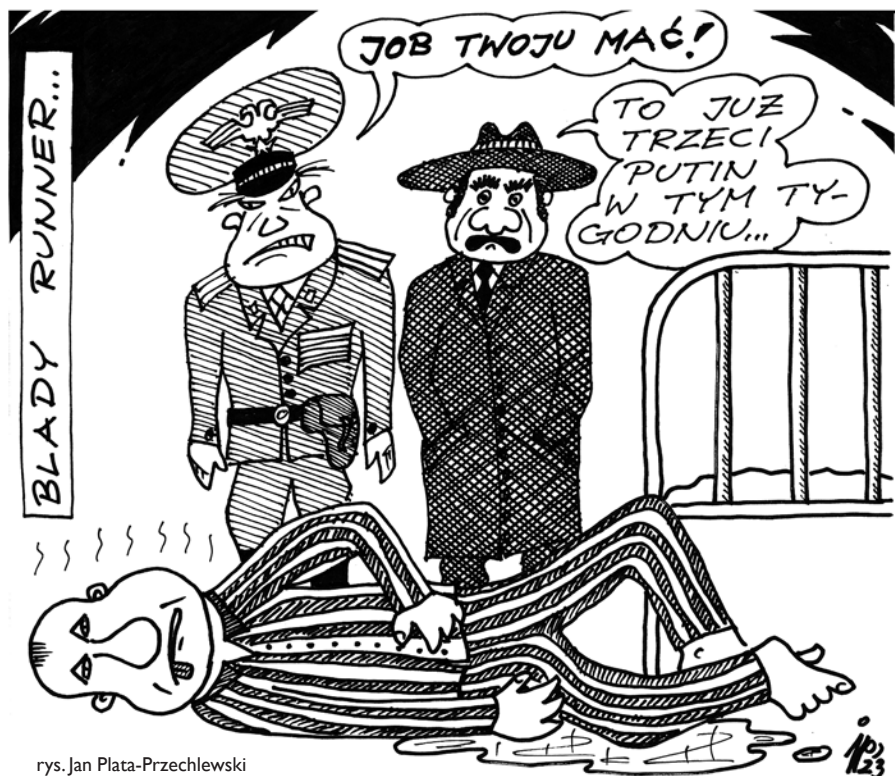


Kobieta na Księżycu; reż. Fritz Lang, Niemcy 1929

OD JPP:

Arturze, bardzo to miłe, że dziś – w epoce streamingowych seriali i cyfrowych efektów specjalnych – dwóch stosunkowo młodych gości (urodzonych jakoś tak między „zimnowojenną SF” a *Odyseją kosmiczną*) zapalczywie dyskutuje o filmach z początków kina! A ja Ci bardzo dziękuję za uzupełnienie mego wstępułaka z poprzedniego numeru. Jego intencją nie był bowiem encyklopedyczny rys historii kina. Jego celem była pewna – dla niektórych może zaskakująca – synteza. Synteza mówiąca o początkach literackiej i filmowej SF. Więc o tym, że początki literackiej fantastyki naukowej były ciekawsze, „ambitniejsze” – oraz tworzone przez autorów będących bardziej zadeklarowanymi „pasjonatami” tego gatunku. Widać to zresztą również

na przykładzie początków filmowego horroru (ekspresjonizm niemiecki, filmy z wytwórni Universal), gdzie przykłady dzieł filmowych biją na głowę zdecydowaną większość ówczesnych filmów fantastycznonaukowych (nawet jeśli również ich oglądanie sprawia dziś frajdę głównie pasjonatom i historykom X Muzy). Osobiście odniosę się też do *Metropolis*. Doceniam oczywiście mistrzostwo wizualne tego filmu – zacytowane chociażby w *Piątym elemencie* (Lang wielkim reżyserem był!); ale emocjonalnie bardziej porusza mnie niezmiennie ludzki Charlie pracujący przy fabrycznej taśmie w *Dzisiejszych czasach* Chaplina niż symboliczny robotnik-figura przesuwający z wysiłkiem ogromne wskazówki... Czekam z wielką ciekawością na dalszy ciąg Twego tekstu – o Kubricku!



rys. Jan Plata-Przechlewski

TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI

BYŁA SOBIE AHSOKA

Ciekawa bohaterka, mocno związana z Anakinem i Obi-Wanem, której historia potencjalnie mogłaby zainteresować nie tylko fanów gwiazdnowojennego uniwersum. Tymczasem otrzymaliśmy miłki produkt o przeciętnej jakości, któremu zarówno brak pomysłu na wciągającą historię, jak i zaskakującej akcji. Po pierwszym odcinku wiedziałem, jakie będą główne wątki serialu – i nie pomyliłem się.

W filmach głównego nurtu *Star Wars* Ahsoka Tano (Togrutanka, posługująca się dwoma laserowymi mieczami o różnej długości) w zasadzie się nie pojawia. Można ją było poznać oraz obserwować, jak dojrzewa w animowanej serii pt. *Wojny klonów*, gdzie była padawanem Anakina Skywalkera. Akcja tej serii, liczącej aż siedem sezonów, działa się mniej więcej w okresie pomiędzy kinowymi filmami *Atak klonów* i *Zemsta Sithów*. Wzajemna relacja Anakina i Ahsoki była wysoce energetyczna, niemniej jednak byli sobie wierni i mogli na sobie polegać. Później Ahsoka Tano pojawiła się gościnnie w serialu *The Mandalorian*. Wiemy, że przeżyła słynny rozkaz 66 jako jedna z nielicznych Jedi. W późniejszym okresie, już po upadku Imperium, szkoliła uczennicę Sabine Wren (Mandaloriankę). Panie rozstały się jednak w niejasnych okolicznościach. Uczynienie zatem z Ahsoki głównej bohaterki odrębnej serii było oczywiste i oczekiwane.

Serial *Star Wars: Ahsoka* osadzony jest w okresie (raczej świeżo) po upadku Imperium, a więc w okresie po wydarzeniach, jakie znamy z filmu *Powrót Jedi*. Nowa Republika jeszcze nie okrzepła, niedobitki sił zbrojnych Imperium na obrzeżach galaktyki próbują jeszcze stawiać opór. Życie powoli się stabilizuje. Senat ponownie staje się najważniejszą instytucją w Galaktyce, a służby i administracja Nowej Republiki stoją przed trudnym zadaniem „posprzątania” po rządach imperialnych i włączeniu do zdrowej tkanki społecznej

dawnych żołnierzy i zwolenników Imperium. Jak się przekonamy – to zadanie trudniejsze niż się wydaje.

Ahsoka (Rosario Dawson) – niegdyś rycerz Jedi, a obecnie ktoś w rodzaju ronina, ceniąca własną niezależność – współpracuje z generałem wojsk Rebelii Herą Syndullą (Mary Elizabeth Winstead), tropiąc i tępiąc pozostałości wpływów Imperium. Gdy okazało się, że plotki o ocaleniu Wielkiego Admirała Imperium, Throwna (Lars Mikkelsen), są bardzo prawdopodobne – obie panie postanawiają skorzystać z pomocy dawnej uczennicy Ahsoki, Sabine Wren (Natasha Liu Bordizzo), aby odszukać i ująć Admirała. Nie jest to proste, ponieważ mistrzynię i dawną uczennicę łączy coś w rodzaju szorstkiej przyjaźni. Plan jest prosty: odszukać i doprowadzić przed oblicze Senatu Admirała Throwna, a przy okazji odszukać zaginionego przyjaciela Ezrę Bridgera (Eman Esfandi) – żołnierza Republiki i rycerza Jedi, który zaginął walcząc z Thrownem. A skoro ten najprawdopodobniej przeżył w odległym zakątku galaktyki, to bardzo możliwe, że Ezra też.

Równolegle poznajemy siły, którym także zależy na odszukaniu Admirała Throwna; ale nie po to, aby go przykładnie ukarać, tylko po to, aby stanął on na czele resztek wojsk Imperium i wypowiedział wojnę Nowej Republice. Mózgiem tej koncepcji jest Morgan Elsbeth (Diana Lee Inosanto), której pomaga dwójka renegatów Jedi – mistrz Baylan Skoll (Ray Stevenson) i uczennica Shin Hati (Ivanna Sakhno).

Tak więc główne wątki, wokół których rozgrywa się akcja, to: po pierwsze – odszukanie i pojmanie wielkiego Admirała Throwna i przy okazji odszukanie Ezry Bridgera, po drugie – zmierzenie się i ostateczny pojedynek „dobrych” (Ahsoka, Sabine, Hera) ze „złymi” (Morgan, Baylan, Shin), po trzecie wyjaśnienie sobie wszystkich żalów i uzdrowienie relacji między dawną mistrzynią (Ahsoka) i dawną padawaną (Sabine). Jak się przekonałem – po pierwszym odcinku trafnie odgađłem te trzy najistotniejsze wątki.

Co do fabuły serialu... Jest przeciętna. Jak dla mnie za dużo gadania i pseudofilozoficznych wywodów. Ahsoka zachowuje się jak dystygowana i lekko zblazowana dama robiąca dziwne miny i przewracająca oczami. Za mało mieczy świetlnych i Mocy. Z kolei Sabine wygląda na energiczną, zbuntowaną i mocno niezależną młodą kobietę. Niestety, temu ekranowemu duetowi bardzo wiele brakuje do relacji innego mistrza i padawana, jakimi byli Obi-Wan i Anakin. Scenarzystom nie udało się wykorzystać potencjału, jaki ma w sobie zawiła relacja obu pań. Szkoda.

Scenariusz nie należy do wybitnie wyrafinowanych. Rzadko jesteście zaskakiwani

zwrotem akcji. Większość zdarzeń łatwo przewidzieć. To niewątpliwie minus serialu. Na plus trzeba odnotować obecność postaci znanych z uniwersum *Gwiezdnych wojen*. Objawia się Anakin Skywalker (Hayden Christensen), kapitan Carson Teva (Paul Sun-Hyung Lee), kapitan Rex (Temuera Morrison), senator Mon Mothma (Genevieve O'Reilly), a także C-3PO we własnej osobie. Uwagę w serialu przykuwa także inny android: Huyang (David Tennant), wierny towarzysz Ahsoki. Wszyscy oni ożywiają i ubogacają fabułę serialu.

Całość składa się na średniej jakości widowisko. Fani starwarsowego uniwersum serial *Ahsoka* obejrzą na pewno z zainteresowaniem. Pozostali – niekoniecznie. W sumie, gdyby wyrzucić część scen i ograniczyć przydługie i zbędne wątki, z serialu można by zrobić całkiem zgrabny i dynamiczny film. Serial jednak bardziej się opłaca oraz daje możliwość stworzenia kolejnego sezonu. Choć, czy do tego dojdzie w przypadku *Ahsoki* – nie jestem pewien. Serial nie porywa widza. A szkoda, bo potencjał ku temu miał znakomity ■

Star Wars: Ahsoka, 2023, serial z platformy Disney+



TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI

FINGERNAILS – CZYLI JAK POLUBIŁEM FILMY ROMANTYCZNE

Przyznaję: typowych romansów nie lubię. Albo mnie irytują, albo nudzą. Uważam je za cukierkowane wyciskacze łez. Komedie romantyczne – owszem, obejrzę. Ale typowy romans – zdecydowanie unikam. Jak się okazuje – do czasu.

Film *Fingernails* – którego tytuł przetłumaczono na język polski z niezrozumiałych dla mnie powodów na *To może boleć* – obejrzałem przede wszystkim zaintrygowany wątkiem SF w jego opisie. Otóż wyobraźmy sobie świat, w którym ktoś skonstruował maszynę pozwalającą bezbłędnie określić jakość związku dwojga ludzi. Badając ich paznokcie – można stwierdzić, jak bardzo para jest do siebie dopasowana i na ile ich wzajemna miłość jest

prawdziwa i mocna. Innymi słowy: można uzyskać potwierdzenie, czy osoba, z którą jesteśmy w związku, jest właśnie tą jedyną. Jeśli tak, to należy z nią budować przyszłość. Jeśli nie, to najlepiej jak najszybciej się rozstać. Zaintrygowała mnie ta koncepcja. Zakłada ona bowiem, że coś tak ulotnego jak miłość można badać i określać w przedziale procentowym wzajemnego dopasowania. Pomysł nieco abstrakcyjny.

Scenarzyści i reżyser poszli jednak krok dalej. W wykreowanym przez nich świecie ludzie są święcie przekonani co do trafności takich komputerowych analiz. W zależności od uzyskanego wyniku pary faktycznie podejmują decyzje o pozostawaniu w związku lub rozstaniu. Wizja i śmieszna, i przerażająca. Tym bardziej, że w celu przeprowadzenia testu zainteresowana para musi dobrowolnie zgodzić się na wyrwanie sobie („na żywca”) paznokcia w celu przeprowadzenia analizy – paznokcie obu osób badane są w maszynie podczas jednej wspólnej sesji.

Główną bohaterką filmu jest Anna (Jesse Buckley), która od kilku lat żyje w związku z Ryanem (Jeremy Allen White). Niby wszystko jest dobrze. Brakuje w nim jednak odrobiny szaleństwa, czułości i namiętności. Ich miejsce zajęła rutyna i przyzwyczajenie. Anna czuje, że jej związek z Ryanem zabrnął w ślepy zaułek. Dusi się. Zaczyna zastanawiać się, czy dobrze robi tkwiąc w nim. Czyż uczucie nie ewoluuje? Ludzie przecież się zmieniają. Czy





To może boleć; reż. Christos Nikou, USA, Wielka Brytania 2023, Apple TV+

maszyna, która swoim badaniem potwierdza więź między dwojgiem osób, rzeczywiście jest nieomylna? Czy faktycznie jest tak jak w powiedzeniu, że trzeba w życiu trafić na przysłowiową „drugą połowę jabłka”, aby być szczęśliwym? Czy jej się udało? A może po jakimś czasie dopasowana para się „rozregulowuje” i należy ponownie poszukać innej „drugiej połówki”? Czy stuprocentowa kompatybilność pary, potwierdzona przez maszynę, jest gwarancją szczęścia w związku? Targana wątpliwościami Anna postanawia zatrudnić się w firmie/instytucji, który prowadzi zajęcia dla par chcących wykonać badanie wzajemnego dopasowania. Zostaje stażystką i pod okiem oraz we współpracy z doświadczonym Amirem (Riz Ahmed) prowadzi zajęcia dla par. Przed zerwaniem paznokci i wykonaniem badania kompatybilności – realizowany jest program treningowy mający na celu jak najgłębsze poznanie się dwojga zakochanych i umocnienie ich więzi (po to, aby zmaksymalizować

otrzymanie pozytywnego wyniku testu). Anna bardzo angażuje się w pracę. Przy okazji chce jak najwięcej dowiedzieć się o istocie tego badania i działaniu maszyny. Chce mieć pewność, że wynikowi badania można ufać; a przy okazji rozwiązać własne wątpliwości. Wspólna praca bardzo zbliża ją do Amira, który przy bliższym poznaniu okazuje się być kimś innym niż wydawało się jej na początku. Między nimi rodzi się uczucie. Tymczasem powtórne badanie paznokci Anny i Ryana potwierdza stuprocentową kompatybilność ich uczucia i pełne dopasowanie. Co z tym fantem zrobić? Czy pójść za głosem namietności i zaryzykować, czy zaufać maszynie i pozostać w nudnym związku, który ma certyfikat dopasowania?

Oglądając film zdałem sobie sprawę, że co pewien czas się uśmiecham. Historia, którą zaserwował nam reżyser, wciąga – a jednocześnie ma ciepłe, choć melancholijne, zabarwienie. Miałem wrażenie, że wiele scen odgrywanych i przedstawianych całkiem

poważnie jest w gruncie rzeczy zabarwiona absurdalnym humorem. Całość momentami tworzy zupełnie abstrakcyjną rzeczywistość alternatywną. Z jednej strony bawi, ale z drugiej daje do myślenia nad złożonością ludzkich zachowań. Okazuje się, że nasze życiowe wybory mogą być inspirowane nieoczywistymi, a nawet zdumiewająco naiwnymi, postawami.

Film ujął mnie już od pierwszych minut za sprawą muzyki, która natychmiast przywołała w mojej pamięci ducha lat 80. ubiegłego wieku. Utwór, który najbardziej wrył się w pamięć, to *Only You* duetu Yazoo. Piosenka wielokrotnie pojawiała się w filmie. Jako fan Yazoo – byłem bardzo szczęśliwy. W związku z tym moja wyobraźnia od razu osadziła akcję filmu w alternatywnej wersji lat osiemdziesiątych; czy taki był cel reżysera – nie wiem. Dla mnie było to proste i oczywiste, ponieważ na ekranie żaden z bohaterów nie używał smartfona, oglądano głównie telewizję, muzyki słuchano z płyt winylowych i CD, pisano ołówkami lub długopisami na karkach i w zeszytach, poruszano się samochodami „z epoki”, a komputery oraz maszyna wykonująca testy

wyglądały dosyć archaicznie – no i były wyposażone w monitory kineskopowe.

To może boleć jest niewątpliwie filmem romantycznym; ale z elementami komedii, dramatu i SF. Taką mieszkankę oglądałem pierwszy raz – i muszę przyznać, że w tym konkretnym wydaniu bardzo mi się podobała. Reżyser (Christos Nikou) opowiedział ciekawą historię, która stawia przed widzami masę pytań, jednocześnie nie udzielając widzowi żadnej jednoznacznej odpowiedzi. To powoduje, że nasza wyobraźnia uzbrojona w empatię oraz życiowe doświadczenie pozwala każdemu dośzukiwać się własnych odpowiedzi. Jedno dla mnie nie ulega wątpliwości. Podobnie jak Anna uważam, że żadna maszyna, badanie, testy czy analizy nigdy nie będą oceniać mojego stanu emocjonalnego i zaangażowania uczuciowego, ani nie będą wskazywać mi, z kim powinienem się wiązać, a z kim nie ■

To może boleć (ang. *Fingernails*), 2023,
platforma AppleTV+



To może boleć; reż. Christos Nikou, USA, Wielka Brytania 2023, Apple TV+

UWIERZ W DUCHA

WERSJA Z MORAŁEM CZYLI MORALIZATORSKA

RYS. ADAM MATEJA

SCEN. JAN PLATA-PRZECHELEWSKI



NORDCON

Jastrzębia Góra
05-10.12.2023

YARKOS 2023

